



N^o 51.

Prenumerata w Warszawie:
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 19 grudnia 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-
sarstwie w osobnych kopertach:
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Konstanty hr. Tyszkiewicz. — (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityki zagranicznej. — Zwaliska zamku w Drzewicy (z dwoma drzeworytami). — O sztuce w starożytnej Grecyi (dokoń.) — Ze świata muzycznego. — Orszak weselny (więrsz). — Najnowsze odkrycia, wynalazki i spostrzeżenia naukowe. — Szachy. — Rebus. — Meczec w Winksznupiu (z drzeworytem). — Geniusz (więrsz). Urocz, powieść przez T. T. Jeża (dalszy ciąg). — Dodatek nadzwyczajny: Tajemnica miasta, powieść przez F. W. Hackländera (d. c.)

Konstanty hr. Tyszkiewicz.

Konstanty hr. Tyszkiewicz, syn Piusa i Augusty z Platerów, przyszedł na świat w r. 1806, w dawniej dziedzinie Tyszkiewiczów, Łohojsku, w powiecie borysowskim. Pierwiastkowe wychowanie pobiął w domu, pod przewodnictwem nauczyciela Gusseka, a pod okiem oświeconej i bogobojującej matki, której wpływ dobroczynny na całym jego życiu w łagodności obejścia i niezłomnej prawości piętno głębokie wycisnął. Następnie oddany do szkół jezuickich w Połocku, zostawał tam aż do zamknięcia kolegium zgromadzenia Jezusowego, poczem rok jeszcze jeden kształcił się w szkole księży dominikanów w Zabiałach, w gubernii witebskiej. Nareszcie, przeniosłszy się do Wilna, ukończył tam nauki gimnazjalne i w r. 1823 wstąpił do uniwersytetu w Wydziale prawnym. Tam, prócz innych przewodników, pod Capellim profesorem prawa, Waszkiewiczem ekonomii politycznej, Onacewiczem, Daniłowiczem historji, wyższe ukształcenie umysłu otrzymał. W r. 1828 zyskał posadę w b. ministerjum skarbu królestwa polskiego i w interesach banku wysyłany był za granicę, a po ukończeniu swęj misji całkiem życiu prywatnemu się poświęcił.

Tu przedewszystkiem nastęrczyło się Tyszkiewiczowi pole zużytkowania teoretycznych i praktycznych wiadomości z dziedziny ekonomii społecznej. Jakoż zaczął od tego, że obok usiłowań o podźwignięcie rolnictwa, przez zasilenie go nabytkami nauki, otworzył u siebie dla mieszczan łohojskich bank pożyczkowy, w którym każdy posiadacz domu otrzymywał za zgłoszeniem się stosowną do wysokości ewikcji nieruchomości kwotę, spłacalną w ciągu roku ratami. Dalej w r. 1837 założył w Ło-

hojsku fabrykę tkanin lnianych i bawełnianych, w której po upływie lat dziesięciu wyrabiał się już rocznie około miliona łokci rozmaitego płótna i perka-

rolniczych, które przedtęm zdaleka, a więc z niemałym kosztem sprowadzać musiano. Wszystko to były rzeczy nowe, niesłychane w tęj lesistej i bagnistej okolicy, do której nawet echo postępu ekonomicznego dotąd załatywać nie śmiało.

Ale Borysowszczyzna, obok bezprzykładnego zacofania w przemyśle, posiadała rzadko gdzieindziej w takim skupieniu nastęrczające się skarby przedhistorycznych pamiątek, na powierzchni i w łonie ziemi rozrzuconych. Sam Łohojsk, ze starożytnym zamkiem władców ziemi krywiczkańskiej Rohwołodowiczów, był ogniskiem rozsianych dookoła zamczysk, okopisk, horodyszcz i kurhanów z przedchrześcijańskiej przeszłości.

Zjednej strony stał przed badawczym umysłem Tyszkiewicza widok tych zagadkowych pomników, ożywionych różnobarwnymi podaniami, których się od dzieciństwa nasłuchał; z drugiej szybkie postępy badań starożytności świata nie klasycznego, wskazywały mu drogę i zachęcały do poszukiwań. Świat się cały zachwycał podówczas odkryciami wielkich mężów, pracujących na polu niedawno wyzwolonej nauki. Jak Leverrier rachunkiem wskazywał stanowisko nieznanego mu z obserwacyj Neptuna, tak Niebuhr jednocześnie oznaczał legowiska starożytności asyryjskich, które później dopiero z ziemi wynurzyć się miały. Obok Niebuhra, mniej pomyślnie, ale z równą żarliwością, krzatali się w pobliżu Jan Potocki, Waclaw Rzewuski, Adam Czarnocki i Towarzystwo przyjaciół nauk. Wszystko to w ciągu lat ostatnich obijało się o uszy Tyszkiewicza, a teraz, w głuszy wiejskiej, mimo woli przychodziło na pamięć i zachęcało do pracy. Jakoż nie-



Konstanty hr. Tyszkiewicz. (Podług nadesłanej fotografii).

mal od chwili zamieszkania w Łohojsku począł się ota-
czać księgami traktującymi o zamierzczłej przeszłości Słowiańszczyzny i oddał się badaniom na gruncie.

łó. Nakoniec urządził w swęj majętności zakład odlówów z surowca i piec do przetapiania go na żelazo przydatne do wyrobu najpotrzebniejszych narzędzi

mal od chwili zamieszkania w Łohojsku począł się ota-
czać księgami traktującymi o zamierzczłej przeszłości Słowiańszczyzny i oddał się badaniom na gruncie.

Odtąd przez lat trzydzieści aż do zgonu, nie schodził Tyszkiewicz z niwy archeologicznych poszukiwań, które już to sam, wspólnie z bratem Eustachym, już nareszcie w towarzystwie innych uczonych i wileńskiej komisji archeologicznej nieustannie prowadził. Różnorodność i mozolność pracy, zupełna prawie nowość i zawilgość przedmiotu, skąpe a bałamutne światło książkowych wiadomości kronikarskich, wszystko to, zamiast ostudzić, podniecało w nim zapał do wielostronnego badania. Oglądanie na gruncie, mierzenie i przerysowywanie starych zamczysk, horodyszcz ofiarniczych i okopisk sądowych, rozkopywanie przedwiecznych mogił, których przeszło 500 różnemi czasy utworzył, dobywanie z nich pamiątek i składanie opisów do protokołu, stanowiło dla Tyszkiewicza najpracowitszą stronę poszukiwań. Była to wszakże zaledwie część zadania, gdyż gromadzący się materiały nacięrał na poszukującego o wykład naukowy zrobionych postrzeżeń. Aby ku temu się zbliżyć, należało uprzytomnić w pamięci wszystko, co przechowały piśmienne zabytki i co zmułde dociekania takich badaczy jak Potocki i Szafarzyk o pierwotnej Słowiańszczyźnie pokłosiem zebrały. Ztąd, pospołu ze zbiorem wykopalisk, rósł jednocześnie w Łohojsku od pierwszego niemal wrębu księgozbiór, dziś pełen szacownych dzieł drukowanych i rękopisów. Gdy to nie wystarczyło, przyszło wezwać na pomoc podania i obyczaje ludu, w których echo dawnych wierzeń i wypadków głuchym odbija się szelestem. Ztąd znowu potoczyły się badania etnograficzne, dla których Tyszkiewicz osobne nawet wyprawy wzdłuż Dźwiny i Wilii przedsięwziął. Potrzeba było wreszcie porównywać własne nabytki, z odkryciami dokonanymi gdzieindziej, dociekać ich podobieństwa i różnicy, podsłuchiwać kamienie i brązy, co w nich brzmiało miejscowego, a co odgłosem cudzoziemskiej przemawiało. Ztąd wynikły kilkakrotne podróże naukowe po Europie, od Krakowa i Drezna, aż do Londynu i Wenecji, tudzież rozległa z uczonymi korespondencja.

Wielka sumienność i wstręt do przenoszenia utrudnych marzeń na obszary przeszłości, nie pozwalały Tyszkiewiczowi rwać się do skwapliwego wystąpienia na popis ze zdobytymi wiadomościami, a témbardziej do naśladowania nierzadkiego przykładu pisania kompendyów historycznych, przed rozpoczęciem ścisłych badań naukowych. Pierwszą swą pracę, i to nader skromnego zakresu, ogłosił w lat piętnaście od przystąpienia do poszukiwań; ostatnią, jak niegdyś Kopernik, ujrzał w druku dopiero na śmiertelnej pościeli. Pierwszą ową pracą Konstatego hr. Tyszkiewicza była część historyczna w dziele jego brata Eustachego: *Opisanie powiatu borysowskiego* (1847), gdzie nietylko pomniki drukowane, lecz i archiwa miejscowe, i podania ludu, i potrochu archeologią ku pomocy przywołał, a tym sposobem niejednen szczegół nieznan wyprowadził na widownię. Drugim, na poły dziejopisarzkim, na poły już czysto archeologicznym jego dziełem była: *Wiadomość historyczna o zamkach, horodyszczach i okopiskach starożytnych na Litwie i Rusi litewskiej* (1858), w której prócz znanych zabytków, jak np. szczątki zamków w Zasławiu, Łohojsku i Birzach, kilkadziesiąt usypisk nieznanych dziejopisom wyprowadza i trafną ich klasyfikacją podaje. Jednocześnie z obszerną a uczoną tą pracą, wydał Tyszkiewicz ze zbioru kilkuset blach przez siebie zgromadzonych, część pierwszą mniejszego formatu *Pomników rytownictwa krajowego* (1858), którą wstępem historycznym i objaśnieniami poprzedził. Część druga tej publikacji niepokaznej, ale ciekawej dla dziejów sztuki, zawierająca odciski z blach wielkiego formatu, równie jak pierwsza z nieskąpym zachodem i nakładem odbita na miejscu w Łohojsku, nie ma jeszcze wydrukowanego tekstu objaśnień, ale zresztą całkiem gotowa, oczekuje ukazania się na widok publiczny.

Odbyta przez Tyszkiewicza w r. 1857 podróż po Wilii, od źródła jej aż do ujścia pod Kownem, dała początek wypracowanemu w następnych latach obszernemu dziełu: *Wilii i jej brzegi, pod względem hydrograficznym, historycznym, archeologicznym i etnograficznym*. Szacowna ta praca, zupełnie przygotowana do druku, którego odwołkę spowodowała tylko niesłowność lipskiego księgarza Bobrowicza, znajduje się w muzeum wileńskim, opatrzona szczegółową

na 12 tablicach mapą Wilii przez Szantyra, oraz 62 rysunkami wykonanymi przez Bartelsa. Część jej tylko przełożył na język rosyjski i wydrukował astronom wileński Gusiew; reszta, z niemałą szkodą dla nauki, dotąd pozostaje w rękopiśmie.

Ostatniem dziełem Tyszkiewicza, które z początku stanowiło część powyższego opisu Wilii, lecz następnie rozrosło się w osobną książkę, jest obszerna rozprawa, przed ukazaniem się oryginału drukowana (1865) w skróconym przekładzie rosyjskim: *O kurhanach na Litwie i Rusi zachodniej* (1868). Praca ta, w wydaniu oryginalnym opatrzona 16 wielkimi tablicami wykopalisk, skupia w sobie treść wszystkiego, co w ciągu przeszło trzydziestoletnich usiłowań zdobył autor dla wyświecenia przedhistorycznej przeszłości. Jest to książka pełna wielkiego zajęcia, nawet dla ludzi nie poświęcających się badaniom archeologicznym, i będzie niezwykłym wieńcem na grobie nieodżałowanego pracownika.

Ale nie z samych dzieł drukowanych albo przygotowanych do druku, sądzić należy o rozległej działalności naukowej Tyszkiewicza. Potrzeboby zobaczyć w Łohojsku owe skarby naukowe, które w swę bibliotece zgromadził, owe foliały protokołów, które każdemu poszukiwaniu na gruncie towarzyszyły, a w których się najdrobniejsze okoliczności każdego odkrycia skrupulatnie zapisywały; potrzeboby się przypatrzeć owym tysiącom zabytków, w największej części własną dłonią Tyszkiewicza z ziemi dobytym, które nietylko przesliczny zbiór starożytności w Łohojsku utworzyły, lecz i publicznemu muzeum wileńskiemu niemało dostarczyły pamiątek; potrzeboby nareszcie przeczytać rozległą jego korespondencję z towarzystwami naukowymi których był członkiem — żeby ogarnąć całość tego pięknego zawodu. Rzecz ta wybiega po za szranki obecnego wspomnienia; lecz tyle przynajmniej powiedzieć można, że jeśli kiedykolwiek archeologia słowiańska stanie się pochodnią do rozświecenia przedhistorycznej przeszłości, winna to będzie takim jak Tyszkiewicz pracownikom. Na jego dziełach, zbiorach i sposobach poszukiwania uczyć się należy owę wytrwałość w pracy, owego baczenia na najdrobniejsze szczegóły, owego powściągnięcia łatwo zapalającej się fantazyi, słowem wszelkich warunków, których dochowanie prowadzi jedynie do rzeczywistych odkryć naukowych. Z archeologią słowiańską jesteśmy obecnie jak z gramatyką za czasów Stojeńskiego i Smotryckiego; dużo wody upłynąć musi, nim powszechna archeologia porównawcza tyle zrobi dla nauki historycznej, ile lingwistyka porównawcza robi dziś dla nauki języka. Słuszna tymczasem przestawać na skrzętnym gotowaniu zasobów, — a zresztą „czas wszystko robi, bo ma czas.“

Otoczony powszechnym szacunkiem, zarówno jako mąż uczony i jako człowiek prawy a towarzyski w pożyciu, umarł Konstatego hr. Tyszkiewicz w Mińsku gubernialnym d. 13 lipca 1868 r. Ze związku małżeńskiego zawartego w r. 1836 z panną Pauliną Ciechanowiecką, zostawił jedynego syna Oskara, który po nim wzorowo utrzymany majątek i drogocenne skarby naukowe dziedziczy. Nie wątpimy, iż przykład czciwego ojca będzie wskazówką dla syna.

W. Korotyński.

Kronika tygodniowa.

Myślicie może iż zaczął dzisiejsze sprawozdanie od kwartetu braci Müllerów, z których jeden nie jest Müllerem.

I rzeczywiście godziłoby się, boć to muzycy nielada i nawet przydzisiejszym przesyte koncertowym sprawiają oni wrażenie w Warszawie.

Ale ponieważ w naszych pismach peryodycznych co chwila spotykać się trzeba z muzycznymi recenzjami, które często wyczerpują aż do dna przedmiot, a czasem i cierpliwosć czytelników, pragnę z mojej strony oszczędzić wam tej próby ognia, choćby ze szkodą opinii, jaką możecie mieć o mojej biegłości muzycznej.

Już dawno przeszła epoka, w której koncerta żyły same przez się, i to nie u nas jedynie. Ażeby się

zdarzył taki wyjątkowy wypadek, na to trzeba chyba olbrzymiej europejskiej sławy Adeliny Patti, panny Nilson, lub księdza Liszta, gdyby której z tych znakomitości zachciało się przyjechać do Warszawy.

Ale w zwykłych okolicznościach koncert jest tylko propagandą muzyczną, albo maskowaną składką pieniężną. W obu tych razach, oprócz rzadkich wyjątków, albo też oznaczenia bardzo taniej ceny za bilety wejściowe, (jak to mięwa miejsce z koncertami dyrygowanymi przez pana Münchheimera, lub zabawami muzycznymi pp. Lewandowskiego i Kuhnego), w obu tych razach, mówię, bilety nie rozchodzą się same, lecz trzeba do rozkupu ich zachęcać wszelkiemi sposobami, czasem gwałtem prawie wciskać je ludziom, którzy wyglądają na to, że mają dwa ruble lub rubla do wydania.

Zdarzały się koncerty, niebardzo nawet zalecające się programem, które cieszyły się pełną salą widzów; ale niekoniecznie ich tam ścigała chęć napojenia się boską harmonią tonów (nie wiem czy w tém wyrażeniu nie popełniam jakiej herezyi muzycznej) mniej lub więcej szczęśliwie wydobywanych.

Zdarzały się inne, które pomimo doborowego układu dzieł w skład ich wchodzących i znamienitej zaśluzi wykonawców, przebrzmiewały smutnie jak głos na pustyni, w obec małej liczby miejsc zajętych przez prawdziwych znawców.

Przyczyną na to składa się mnóstwo, a głównemi są: nadużycie muzycznego usposobienia ogółu i wysokość cen, które jedne na drugich się formują. Tamten oznaczył pierwsze rzędy po trzy ruble, mówi sobie niejednen, jakże ja mam dać taniej. Tęby dowodziło że się mniej cenię, a na to żadną miarą pozwolić nie mogę.

Więc jedno pociąga za sobą drugie, a koniec końców pokazuje się strata, bo albo koncert dla tępego rozkupu biletów musi być odłożony, albo odbywa się w nieprzyjanych warunkach i po potrąceniu koniecznych kosztów, mało bardzo rzeczywistego zysku przynosi.

Czyliż nie lepiej i pożyteczniej byłoby zniżyć cenę i tym sposobem uprzyścić kupno biletów większej liczbie publiczności? Pan Münchheimer, panowie Lewandowski i Kuhne, uczynili to, i ta skromność wymagań na dobre im wyszła. Sądzimy iż godziłoby się wzór ten naśladować.

* * *

To przynajmniej pewna, że dramat u nas nie potrzebuje forsownej sprzedaży, ani zachęty lub reklamy dziennikarskiej. Dowodem tego przedstawienie Zbójców. Zrana do przedsiönka teatru Rozmaitości, w którym, jak wiadomo, odbywa się sprzedaż biletów, dotłoczyć się nie było podobna. Publiczność zalegała wejście, przedsiönek cały, chodnik pod filarami i na placu nawet stały gromadki.

Jest to wymowną odpowiedzią na różne zdania, któreśmy słyszeli tu i owdzie z dziwną śmiałością sądu wypowiedane.

Trzeba bowiem wiedzieć, że istnieje u nas pewna częśćka niby lubowników teatru, którym się zdaje że mogą wyrokować o sztuce i grze aktorów i nadać nawet ton opinii ogółu.

Otóż ci panowie sądzą po swojemu, twierdząc że Marya Stuart jest długim ciągiem ziewania, że Zbójcy to sztuka która już się przeżyła i tylko ślepi fanatycy mogą wyznawać dla niej bezwzględne uwielbienie.

Na pierwsze przedstawienie dramatu idą, żeby ich widziano, ale rzadko kiedy zdarzy im się dociągnąć do piątego aktu, śpieszą się bowiem przy porcyi indyka albo polędwicy odpocząć po znużeniu, jakiego ich ta *nudna* sztuka nabawiła. Nad te niepotrzebne wysiłki przekładają głośno komedye Sardou lub Barbiera, a pocichu żałują, że wesołe wodwilki, na których naśmiać się można z różnych arcydziełskich konceptów, tak rzadko teraz na scenie się ukazują.

Trzeba ich słyszeć rozprawiających, krytykujących to, wytykających owo, z dziwną pewnością siebie, jak gdyby rzeczywiście nad studjami dramatycznymi całe lata strawili. A studia kończą się u nich na wyszukaniu ukrytego znaczenia dowcipu pierwszjej lepszej komedyjki, polującej na tego rodzaju efektu.

Otóż niechaj ci panowie się nie mylą; stanowią oni drobną, bardzo drobną cząstkę publiczności teatralnej, a co gorsza, sądami swojemi nie dowodzą wcale znawstwa, które im tak leży na sercu, śmiało bowiem wynurzamy przekonanie, że żadna sztuka poważniejsza nie zdoła ich zadowolić, i będą ziewać na przedstawieniu każdego przez całą Europę uznanego arcydzieła.

Nie dla nich więc zamieszczamy tutaj pożądaną wiadomość, że z nowym rokiem ma się ukazać na scenie naszej tak dawno już zapowiadany Kupiec Wenecki Szekspira.

Podobnie Liwia Quintilla Rzętkowskiego, która wkrótce ma być odegrana w teatrze Wielkim.

Jest także w nauce komedia *Ja*, z francuzkiego tłumaczona. Sztuka ta kilka lat temu cieszyła się wielkim powodzeniem w Paryżu.

* * *

Notowaliśmy już w kronice naszej kilka dość oryginalnych manij mieszkańców naszego miasta. Dziś jeszcze jedną dołączyć nam do nich przychodzi.

Przed rokiem umarł pewien dziwak, który spisywał swoje osobiste pamiętniki i w szczególny czynił to sposób.

Będąc w ogóle wrogiem palenia tytoniu, za każdym jednak wypadkiem który mu się zdarzył, albo też faktem społecznym który godnym zanotowania w swoim pamiętniku osądził, kupował w dystrybucji cygaro.

Przyniósłszy nabytek ów do domu, spisywał na osobnej karteczce fakt którego wspomnienie chciał zachować, obwijał cygaro w karteczkę i kładł do osobnego pudełka.

Tym sposobem zebrał sobie kilka sporych pudełek cygar, a na wierzchu każdego starannie wypisanymi były daty faktów w niej pomieszczonych, oraz kategorie do których cygara się odnoszą.

Tak na przykład miał osobne pudełka śmierci, ślubów, wypadków szczegółowych, wypadków ogólnych, pożyczek, a nawet miłości, chociaż tę ostatnią w najgłębszej szufladzie biurka przechowywał.

Kiedy był w dobrym humorze w kółku znajomych, a rozmowa toczyła się o jakim wypadku z przeszłości, z uśmiechem szedł do biurka, wydobywał skrzynkę tyczącą się kategorii faktu o którym wspomniano, rozwijał kartkę i czytał wierny opis rzeczy przedmiotem rozmowy będącej.

Po jego śmierci spadkobiercy, dostawszy się do owego zbioru cygar, wypalili je po kolei, używając nieraz do zapalania kartek pamiątkowych. Tym sposobem zaginęło wspomnienie o wielu faktach przez tego dziwaka zanotowanych. A szkoda, boć takie pamiętniki prywatne stanowią zwykle w późniejszych czasach bardzo szacowne źródło wiadomości.

* * *

Po śmierci Rossiniego i Rotszylda, posypało się o tych dwóch ludziach, całemu Paryżowi wybornie znanych, a sławnych, chociaż z różnych powodów, na całą Europę, mnóstwo anegdotek, które kronikarze skrętnie ze wszystkich stron zbierali, przesadzając się jeden nad drugiego.

Otóż pomiędzy tysiącem anegdotek krążących o Rotszyldzie, wyczytaliśmy jedną, którą, jako prawdopodobnie mało tu znaną, nie zawadzi powtórzyć.

Wiadomo że Rotszyld, chociaż dość przystępny, niewiele sobie jednak z ludzi robił, przyzwyczajony do tego, że nie on innych, ale inni jego zwykli byli potrzebować.

Pewnego więc rana, kiedy siedział w gabinecie swoim, zajęty nową handlową kombinacją, wszedł doń pan jakiś, bardzo poważnej fizyonomii.

Rotszyld odwrócił wzrok od papierów, spojrzął na niego i rzekł, wskazując na krzesło:

— Niech pan usiądzie, ja zaraz służę, bo w tej chwili nie mam czasu.

— Ale ja jestem ksiądz de M**, rzekł nowo-przybyły, obrażony trochę tym lekceważącym przyjęciem.

— W takim razie, odparł Rotszyld, jeżeli panu jednego krzesła zamało, usiądź na dwóch i poczekaj trochę aż skończę robotę.

* * *

Kuchnie tanie już są przedmiotem narad komite- tu przy Towarzystwie dobroczynności *ad hoc* ustanowionego.

Zdaje się że z początkiem roku przyszłego zba- wienna ta instytucja funkcyonować zacznie, na po- śpiechu bowiem dużo tu zależy. To pewna, że sym- patya ogółu otacza to całe dzieło, śledzi za jego po- stępem i dopomaga mu wedle możliwości. Składki napływają ciągle, a i ofiary w naturze ułatwią nie- pomału zadanie wydziału, oszczędzając kosztów na budowę.

I rzeczywiście ten pośpiech podwójnie teraz jest potrzebny, gdyż zimą trudność wyżywienia klasy ubogich wzrasta. Wszystko drogie, począwszy od niezbędnych artykułów żywności, a środki zarobku nie powiększają się wcale.

Łatwo domyśleć się, że stan zdrowia mieszkańców Warszawy musiał niemało uciepnieć na tém. Cho- roby gorączkowe, które przy początku tego roku tyle kłesk zadały uboższej naszej ludności, wróciły się po części. Nie przedstawiają one wprawdzie jeszcze charakteru epidemicznego i wszelkie starania przed- sięwzięto, ażeby zapobiedz dalszemu ich szerzeniu się, ale głównymi tu działaczami muszą być: zdrowy pokarm i ciepłe mieszkanie.

W niedostatku bowiem i braku możliwości zaspo- kojienia tych pierwszych potrzeb życia, leżą główne powody szerzenia się chorób.

Kuchnie tanie zaradzą temu poczęści, pożywienie bowiem, które dotychczas za tanie pieniądze otrzy- muje się w garkuchniach ludowych, nie przedstawia wcale pożądaných warunków higienicznych. Poży- wienie zaś z kuchen tanich będzie na żądania wyda- wane i na miasto, a więc rodziny całe będą mogły korzystać z tej dogodności. Cena za porcję ozna- czoną będzie ile możliwości najtańsza, a spółudział do- świadczończym w tym względzie członków Towarzy- stwa Dobroczynności, zdaje się poręczać iż wszystko obmyśloném zostanie praktycznie i z uwzględnieniem potrzeb konsumentów.

* * *

Redakcja „*Ekonomisty*“ ogłosiła w tych dniach odezwę, zwiastując pewne zmiany, jakie w piśmie swoim od Nowego roku zaprowadzić zamierza.

„*Ekonomista*“ zapowiada nową rubrykę przeglądu literatury ekonomicznej, którą systematycznie pro- wadzić przyrzeka.

„*Merkury*“, stanowiący dotychczas dodatek do *Ekonomisty*, podwoi swą objętość, aby mieć możność zamieszczania większej liczby faktów, zwłaszcza bie- żących, z życia ekonomicznego i finansowego, a nadto przyjmować będzie ogłoszenia handlowe, przemysłowe i finansowe.

Każde z tych pism, od 1 stycznia 1869 r., może być prenumerowane oddzielnie.

Niezaprzeczona wartość naukowa tej jedynéj u nas w obranym zakresie publikacji i godna uznania wy- trwałość redakcyi w przeprowadzaniu trudnego za- dania jakie sobie założyła, powinnaby rzeczywiście pobudzić ogół do powszechniejszego niż dotąd popie- rania pisma, które samo jedno stojąc na wyłomie, nie ustaje w usiłowaniach szerzenia tak niezbędnych wiadomości z dziedziny gospodarstwa społecznego. Niegodzi się wątpić o powodzeniu, gdy cel pożyteczny i zacy leży jak na dłoni.

Przegląd polityki zagranicznej.

18 grudnia.

Przebieg sporu Turcyi z Grecyą przekonywa raz jeszcze, jak mało ufać można pojedynczym telegramom. Depesza z d. 14 b. m. doniosła że rząd grecki zgodził się na ustępstwa dla Porty, że rozwią- zał bandy, zabronił urzędnikom i oficerom brać udział w powstaniu i t. p. W tymże dniu, telegram z Konstantynopola zawiadomił że poseł turecki opu- ścił Ateny, jednocześnie zaś poseł grecki wraz z in- nymi Grekami wyjechał ze Stambułu. Bądź co bądź, to jedno jest pewnem że rozjątrzenie umysłów w Turcyi i Grecyi wzrasta z dniem każdym i tylko usiłowaniom dyplomacyi zawdzięczać należy, że je- szcze nie przyszło do krwawej między temi krajami wojny. Z Konstantynopola donoszą że Porta, uspo-

kojona co do postawy Rumunii, licząc przytém na poparcie Anglii i Francyi, gotuje się do energicznych kroków. Z drugiej strony, żądania tureckie tak są przeciwne i wstrętne charakterowi i interesom na- rodowym Greków, iż trudno przypuścić aby mogły być przez rząd ateński uwzględnionemi. Zapół w Atenach ma być wielki, ochotnicy ze wszech stron ofiarują rządowi swe ramię, domagając się wojny, a życzenia te objawiają się nie tylko w stolicy, lecz także i na wszystkich punktach Grecyi. Godném jest uwagi, że pomimo toczącego się sporu i nade- słanego przez Turcyą ultimatum, tysiąc ochotników zdołało w tych dniach wylądować na Krete, celem zasilenia i odżywienia powstania. Według wiadomości z Konstantynopola, poseł turecki w Atenach oświadczył, że mieszkańcy Krety podali do sułtana adres, w którym żałują dawnego postępowania wzglę- dem rządu i obiecują poddać się sułtanowi. W Ate- nach lud zebrał się przed pałacami ambasadorów: Rosyi, Anglii, Ameryki i Prus, i wyraził w hucznych okrzykach cześć swą i sympatyą dla mocarstw wymienionych. Dla uzupełnienia tego zbyt krótkiego sprawozdania o obecnym stanie greckiej sprawy, dodać musimy że Monitor francuzki i cała urzędowa paryzka prasa zapewnia że pokój na Wschodzie nie zostanie naruszonym, rękojmnią zaś tego jest zgoda mocarstw opiekuńczych.

W Hiszpanii położenie rzeczy pogorsza się z dniem każdym. Niewidoma siła wichrzy na wszystkich krańcach monarchii i korzysta ze słabości rządu tymczasowego, podkopując go i obierając z wszelkiej powagi. W ostatnich czasach w Kadyksie wybuchła rewolucya która o mało nie doprowadziła do zboro- bardowania miasta i szerokiego krwi rozlewu. Wy- padek ten nie jest jedynym, okazuje się bowiem że i w samym Madrycie obawiają się zamieszek, nie wiedząc przytém kogo się obawiać, republikańców czy reakcyonistów. Policya madrycka odkryła w tych dniach w stolicy i jej okolicach znaczne skła- dy broni, które zostały skonfiskowane wraz zsummą 18 milionów realów, należącą do stronników królo- wéj Izabelli. Nie brak także dowodów że don Car- los agituje na własną rękę, łącząc się to z republi- kanami, to z reakcyonistami. W takim stanie rze- czy, nic dziwnego że rząd tymczasowy traci na zna- czeniu i powadze, a że kortezy zebrać się mają do- piero w lutym, przeto łatwo sobie wyobrazić na jak wielkie niebezpieczeństwa Hiszpania, jest wystawioną. W Paryżu odbywają się ciągle u królowéj Izabelli narady, celem skłonienia jej do abdykacyi na rzecz księcia Asturyi lub don Carlosa, lecz ex-królowa nie może dotąd powziąć ostatecznego postanowienia. Słychać że Garibaldi opuszcza Kaprę i udaje się do Hiszpanii.

Polemika dzienników pruskich z austryackimi nie ustaje a nawet przybrała w ostatnich czasach taki ton zjadliwości, jakiegośmy dawno już nie byli świadkami. Przedmiotem sporu jest z jednéj strony oskarżanie Austrii o knowania wojenne, z drugie- j obrona i odpięcie zarzutów. Dzienniki pruskie przedewszystkiém napadają na księcia Meternicha i kanclerza Beusta, pomawiając obydwóch nie tylko o sianie niezgody na Wschodzie, lecz i o dążność wywołania starcia nad Renem. Do tych oskarżeń łączy swój głos Rumunia, nowy bowiem minister p. Kogolniczano otwarcie wyznał w Izbie deputowa- nych że przyczyną uzbrojeń w Rumunii jest Austrya, która tak zbroi się w Węgrzech, jakby już wkrótce wojna wybuchnąć miała. Wspominaliśmy już o tych uzbrojeniach i wojowniczych przemowach w Austrii, tu dodamy tylko że wszystkie te uzbrojenia wywo- lują jątrzenie i nie pozostaną zapewne bez odpowie- dzi. Dzienniki angielskie utrzymywały że hr. Bismarck zapewnił p. Benedetti posła francuzkiego w Berli- nie, że Prussy chcą uniknąć wszelkich z Francyą za- targów i w tym celu zaprowadzą głosowanie powsze- chne w Szlezwigu północnym. Tymczasem, niektóre z gazet pruskich donoszą że rząd pruski rozkazał jaknajspieszniej uzbroić Sondenburg i Düppel, te zaś, jak wiadomo, stanowią główną oś zażaleń i reklama- cyj ze strony Duńczyków. Obie pogłoski wymagają potwierdzenia.

(W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).

ZWALISKA ZAMKU W DRZEWICY.

Drzewica, miasto prywatne w gubernii radomskiej powiecie opoczyńskim, nad rzeką Drzewiczką, przy trakcie opoczyńsko-warszawskim położone, jest gniazdem znakomitej niegdyś rodziny Drzewickich, herbu Ciołek. Władysław Jagiełło, przywilejem 1429 roku wydanym, wieś ich dziedziczną Drzewicze na miasto zamienił, pozwolił mu rządzić się prawem magdeburskim i trzy jarmarki trzydniowe dorocznie odbywać.

W XVI wieku miejsce to, nabrawszy wzrostu, słynęło dobrimi piwami, miało różnych rzemieślni-

Artur Rajski, jest terażniejszym jój właścicielem. Znajdują się tu ruiny obszernego niegdyś zamku, przez rodzinę Drzewickich w pierwszych latach XVI wieku wystawionego, a w drugiej połowie zeszłego stulecia jeszcze w stanie mieszkalnym będącego. Była to budowla wzniesiona w czworogran, częścią z cegły, częścią z piaskowego kamienia i wieżami po rogach wzmocniona, mająca oprócz tego mały przy jednej ścianie występ, oraz trzy wieże, w całej swj wysokości czworosienne, czwartą zaś od połowy ośmiościenne. Zdobiły go nadto kamienne odrzwia, obłożyny około okien i szczyty wyrabiane w osobliwszego rodzaju ozdobne wzory.

Gmach ten, dokoła wodą oblany i fosą otoczony, oddany był w drugiej połowie osiemnastego stulecia

wewnątrz wyrestaurowany, oczekuje na reparacyą zewnętrzną, która wkrótce zapewne zostanie uskutecznią.

Wewnątrz ma ta świątynia w ołtarzu po lewej ręce relikwiarz św. Jana złotoustego i obraz przedstawiający tego świętego, z napisem: „W tym kościele głowa moja złożona 1534 r. 27 stycznia od Macieja Drzewickiego arcybiskupa gnieźnieńskiego.“ Czaszka świętego mieści się w głowie ze srebra ulanej. Pod chórem dwa są nagrobki marmurowe rodziny Drzewickich, jeden Jakuba Drzewickiego, zmarłego 1564 r., drugi Adama Drzewickiego starosty inowłodzkiego, zmarłego roku 1604. Tu także złożone są zwłoki wyżej wspomnianego Filipa Szaniawskiego, zmarłego 22 maja 1782 r.



Widok zewnętrzny zamku w Drzewicy. (Podług szkicu J. Brandta, rysował na drzewie W. Szerner).

ków, a w okolicy jego znajdowały się znakomite kuźnie. Wszystko to niszczało w czasie wojny szwedzkiej 1655 r., a odtąd zubożeni i rozproszeni mieszkańcy podźwignąć się już nie mogli. Dopiero około r. 1760 dziedzic Drzewicy, Filip Szaniawski, przedsiębiorczym ożywiony duchem, począł majątność tę wznosić przez zaprowadzenie zakładów fabrycznych. Wnet zakwitły tutaj różne rękodzieła, mianowicie fabryka pasów, posiadająca wielką wziętość w kraju, a miasteczko, zabudowane mając rynek muirowanemi domami, należeć począł do porządniejszych.

R. 1809 przeszła Drzewica w posiadanie barona Franciszka Ksawerego Rajskiego, ożenionego z wnuczką Filipa, Ludwiką Szaniawską, a syn ich, baron

przez ówczesnego właściciela na klasztor pannaom bernardynkom. Klasztor ten w r. 1811 uległ pogorzeli i mury zupełnie zostały opuszczone. Dotychczas jednak noszą one dokładne ślady pierwotnego swego pochodzenia, a obszerne piwnice i inne resztki zamkowe i klasztorne zasługują na zwiędzenie.

Kościół farny, pod wezwaniem Ś-go Łukasza, mający przedtém wyniosłą wieżę z herbem Ciołek, zbudowany został około r. 1315. Jeden z Drzewickich dziedziców miasteczka, przyjąwszy wyznanie helweckie za panowania Zygmunta Augusta, oddał ten kościół swoim współwyznawcom, w których posiadaniu zostawał aż do początku XVII wieku. Po spaleniu w r. 1803 odnowiony, a kilka lat temu we-

O SZTUCE W STAROŻYTNEJ GRECYI.

Z powodu dzieła Józefa Kremera: „Grecya starożytna i jój sztuka, zwłaszcza rzeźba.“

przez

Każmirza Kaszewskiego.

(Dokończenie).

Owóz przed Fidyaszem wielką była w Helladzie wziętość szkoły egińskiej, która, jak się z zestawienia dat okazuje, powstała zaraz po wojnach perskich. Tym Eginetom mieliśmy sposobność przy-

patrzeć się w oryginale w glyptotece mnichowskiej, i przekonaliśmy się, że lubo to są statuy niepospolite i prawie doskonałe w swoim rodzaju, jednak w obec posągów Partenonu gasną, jak umysł egiński w obec ateńskiego, jak surowość dorycka w obec werwy i elegancyi jońskiej. Porównywając dwie te szkoły, widzimy nietyle dwa jakieś okresy, dwa ciągi jednej sztuki, ale dwie sztuki zupełnie różne, które rozwijały się niezależnie i równolegle jedna od drugiej, pod wpływem odpowiednich każdej z tych ludności obyczajów, tradycy religijnych i charakteru plemiennego. Nietylko że umysł Eginetów nie posiadał sam w sobie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, téj giętkości jaka odznaczała Ateńczyków,

ryklesem i takim widziemy go w późniejszej szkole argolijskiej, wbrew postępom uczynionym w Atenach, tak zyskał nawet swego odpowiednika Fidyaszowi w sławnym Onatasie. Czy to wpływ tradycy religijnej, czy brak życia moralnego na téj doryckiej wyspie, dosyć że w posągach Eginetów nietylko głowy są bez znaczenia, oblicza wszystkie do siebie podobne, żadnych różnic indywidualnych, ale nadto, pomimo całą dokładność i umiejętność w naśladowaniu ciała ludzkiego, nawet życie fizyczne w statuach egińskich nie istnieje. Brak tu zatem i ruchu; pomimo wyszukaną gwałtowność gestów i układu, akcyi ani śladu; owe zawzięte bitwy Eakidów około ciał poległych towarzyszy, nie wyglądają na

panuje zgiełk, a w postaciach bóstw siedzących, szeroko udrapowanych, widać życie spokojne a potężne, zwiastujące już przyjsie Fidyasza. Już tu na téj fryzie objawia się poczucie wielkiej kompozycy, styl monumentalny, jaki za sprawą Fidyasza miał na wieki przyświecać z wysokości Partenonu. Trudno tu, choćby z Pausaniaszem w rękę, rozpoznać się w nazwiskach i datach, ale zdaje się że tym przedślanicem mesyasa rzeźby, był znakomity artysta ateński Polygnot, który nie już w rzeźbie, ale w malarstwie szedł wspaniałym twórczości gościńcem, wytkniętym przez Homera, i sztuce swój nadał owę szerokość stylu, swobodę i idealność, które Fidyasz doprowadził później do szczytu doskonałości.



Widok wewnętrzny zamku w Drzewicy. (Podług szkicu J. Brandta, rysował na drzewie W. Szerner).

ale i sama ich sztuka zanadto już poszła naprzód, aby mogła zmienić kierunek w duchu nowych pojęć i obyczajów, budzących się pod wiek Peryklesa, wiek najwyższego rozkwitu sztuki ateńskiej: sztuka ich mogła tylko kształcić się na raz obranej drodze, i prawdopodobnie téż tak postąpiła. Statuy glyptoteki mnichowskiej nie są bynajmniej utworem sztuki niemowlecej, ani umysłu barbarzyńskiego; przeciwnie, w nich przejawia się sztuka, myśl ludu czynnego, przemysłnego, zamiłowanego w chwale, szlachetnie poglądującego na postać ludzką, ale powstrzymanego w rozwoju swym moralnym przez obyczaj i religię. Jest to ów stary duch dorycki, ponury i systematyczny, ostrożny a sztywny, służący więcej tradycyom, niż swobodzie. Takim był on przed Pe-

prawdziwą walkę. Wszędzie brak całości, brak życia szczegółów w tych kompozycyach; a jednocześnie doskonałość kształtów i wykonania ciał wykrywa sztukę dochodzącą do ostatnich granic.

Z tą szkołą Fidyasz nic nie mógł mieć wspólnego, nic dla siebie z niej nie wyczerpał; przeszedł on mimo niej zupełnie; ale gdybyśmy mu chcieli wynaleźć poprzednika, to zwrócić się chyba musimy do szkoły ateńskiej.

Jakoż na Akropolu stała tam już świątynia Tezeusza, a jeżeli spojrzymy na figury zdobiące fryzę tego Tezeouu (n-ra 137, 138, 145, 146 gipsów w British Muzeum), znajdziemy w nich, przy mniejszej zręczności i wykończeniu, owo życie i ruch, którycheśmy daremnie doszukiwali się w Eginetach. Tu w bitwach

Bo téż i epoka w której ten mistrz zasłynął, dziwnie sprzyjała urzeczywistnieniu wielkiego ideału artystycznego. Pośród cywilizacyi już bogato rozwiniętej i płodnej, obyczaje zachowały szlachetną naiwność, która musiała odbić się i w sztuce. Wszystko zieleniło się kwiatem nowości. Umysł ożywiony niewypowiedzianą czynnością, żył uroczym zachwytem dzieł sztuki, tak jak niegdyś kołysał się poezyą podać heroicznych; sztuka stała się podówczas legendą imaginacyi. Taki téż jest charakter dzieł Fidyasza i jego szkoły, głównie reprezentowanej przez Skopasa, Praxytelesa i Leochara, różnych jednak od niego natchnieniem.

O ile zaś styl Partenonu różni się od marmurów egińskich, o tyle oddala się od tego fałszywego ide-

alu, który później stał się modnym w Grecji i pomiędzy nami nawet długo uchodził za prawdziwy ideał grecki. Niema nic bardziej niepodobnego do sztuki Fidiasza, jak to tworzenie *systematyczne*, według wyrażenia Westa, z czasów upadku, które w miejsce szerokiego i drgającego życiem naśladowania natury, podstawia ideał uformowany w mózgu i urzeczywistniający się środkami metodycznymi. Bogowie Fidiasza nie są bynajmniej podobni do owych bóstw epikurejskich, które zamiast ciała i kości, mają ich tylko pozory.

Nowa szkoła argolijska, pod natchnieniem Polykteta, kroczyła wciąż dalej za tradycją starych szkół doryckich, studiując nieustannie i reprodukując formy atletyczne. Mistrzowie tej szkoły, zajęci przedstawianiem materyjalnej piękności, nie starali się przeniknąć do wewnętrznego życia istoty ludzkiej, zatrzymywali się na powierzchni i poszukiwali ideału w uczonej, rozumowanej i metodycznej tłumaczeniu kształtów ciała, w regularnych systematach liczby i miary. Za modłę i kanony swych utworów wzięli oni sobie posąg Polykteta, zwany *Doryfor*, tak jak nowoczesni epicy klasycy Eneidę Wirgiliusza, a tak potrochu zaczęli robić nie z natchnienia, ale z recepty i przechodzili na rzemieślników, bez swobody i polotów indywidualnych. To też ciała ich mają precyzyą, nawet życie fizyczne, ale moralna natura człowieka staje się u nich niewidzialną.

Po upadku politycznym Grecji, kiedy zbudzenie się zamięłowania Rzymian do sztuki sprowadziło odrodzenie rzeźby, znowu dorycki duch zapanował między artystami i cechą swą oznaczył nowe arcydzieła epoki rzymskiej. Polyktet wtedy miał górę nad Fidiaszem, a szkoła argolijska i sycyońska więcej używały miru, niżeli wielka sztuka ateńska. Wtedy gasł duch grecki, rozciągnięty na marach od wojny peloponezkiej, i wyczerpała się płodność sztuki. Blade naśladownictwa, nastroszone powtarzanki, między kilku szlachetnymi utworami tu i owdzie zjawiającymi się, odznaczają te ostatnie wysilenia sztuki, dążącej do doskonałości abstrakcyjnej i martwej. Muza rzeźby daremnie usiłuje rozgrzać lodowy marmur: skonała, włączając się po zimnych głazach.

Systematyczny przegląd historii rzeźbiarstwa greckiego, nad którym wielu pracowało estetyków, jest niezmiernego pod względem estetyki znaczenia, i prawdziwą przysługą na rzecz kultury artystycznej zrobiłby ten, kto by go według źródła i wskazówek już znanych dokonał. Gdybyśmy mieli w języku naszym skończone takie dzieło, możebyśmy wtedy inaczej patrzyli i na ten rzadki i z wielu względów znakomity zbiór rzeźby, jaki znajduje się w naszym warszawskim *Muzeum sztuki*. Bez tego zbiór ten jest dla naszej publiczności tylko składem figur, których duchowego znaczenia nie pojmujemy wcale. Patrzymy na nie jak na kwiatki w ogrodzie: ten niczego, a ten piękniejszy, a ten to już zachwycający, — i ot cała korzyść. Aby pojąć wieszczą, powiada Gete, trzeba pójść do jego ojczyzny. To znaczy, że aby zrozumieć dzieło sztuki, należy przyswoić sobie warunki jego tworzenia, ku czemu prowadzą jedynie studia estetyczne, tak pod względem teorii, jako i historii. W książce p. Kremera, co do rzeźby, mamy tego zaledwie początek, *entrée en matière*, ale dużo jeszcze takich książek muszą dla nas napisać ludzie, abyśmy nabyli dostatecznego światła; i pisaliby ludzie, gdyby ich czytać chcieli, to jest gdyby te rzeczy, ta nauka, z powiastki lub romansiku mogła wprost strzelić do głowy.

Rozpisując się o rzeźbie, zerwaliśmy i tę naturalną kolej, jaką idą sztuki w systemie estetycznym, i tę jaką oczywiście obrał sobie pan Kremer; ale stało się to poczęści i z winy autora, który największą wagę w książce swój ku rzeźbie skierował i nas tym sposobem za sobą pociągnął. Jednakże i dział architektury ma tam swoje znaczenie. Rozpoczyna go autor od podania o mytycznym architekcie Dedalu, pierwszym budowniczym Grecji, w którym, jak we wszystkich mytach, Hellenowie złożyli myśli swe zbiorowe, swoje poetyczne usposobienie, zapisał do przedmiotu i sposób zapatrywania się nań. Prześliczna ta historia, zaśladem *Przemian* Owidynszowych, oryginalnie wdzięcznym językiem opowie-

dziana, sama przez się stanowi cudny obrazek, wycięty z dziejów greckiego świata. I niebawem przystępuje autor do opisu greckiej świątyni, tłumacząc układ jej formy ze stanowiska estetycznych zasad i opierając się na szczegółach stylu doryckiego, który był innych porządków podstawą. Od szczytu do fundamentów scharakteryzowana tu każda część, wyłuszczonego potrzebę każdego szczegółu, wykazana doskonale owa równowaga pomiędzy zasadą utylitarzną i estetyczną, która w dziele architektonicznym, jako właśnie najbardziej ze wszystkich dzieł sztuki użytkowym, stanowi sojusz pełen wdzięku między rozumem i uczuciem, rozsądkiem i fantazyą, — w kamiennym a milczącym poemacie godzi realność z idealnością. Świątynię dorycką stawiał nam autor przed oczy w całkowitej jej prostocie i wdzięku, w obrazie zupełnie skończonym, i na tém też niemal zamknął traktat o architekturze, znowu zaledwie ogólnikiem dotknawszy porządku jońskiego i korynckiego, zsyłając się, jako i w historii rzeźby, na swą „Podróż do Włoch;“ co zaś do samych przykładów budownictwa greckiego, te właśnie wskazuje dopiero w dziale rzeźby, oprowadzając czytelnika po Akropolu.

Drażniło nas wielce to nieustanne odwoływanie się do poprzedniego dzieła, które dla samej jego objętości nie każdemu dostępnym być może. Pojmujemy, że autor każdy może o jednym przedmiocie pisać kilka dzieł i wzajem się nimi przy wykładzie posiłkować; ale to nie może mieć miejsca w dziele, które właśnie służyć ma za wskazówkę systematyczną, a tém samém obowiązana zachować najściślejszą całość. Co nam do tego, że autor nie chciał się powtarzać? jego rzeczą było urządzić się tak, aby był i wilk syty i koza cała.

Któż z czytelników „Grecji“, skończywszy rzecz o stylu doryckim, przeprowadzonym z najściślejszą metodą, będzie po resztę teorii udawał się do „Podróży“, gdzie te rzeczy prowadzone są bez metody, bo traktowane w miarę nasuwających się przed oczy przedmiotów? Z drugiej strony nie rozumiemy koniecznej potrzeby oddzielania przykładów od teorii i sądzimy że opis budowli akropolitańskich właściwsze miał miejsce w dziale architektury niż rzeźby, choć budowle te służą rzeźbie za tło i piedestał.

Malarstwo, o ile poznaliśmy ducha greckiego ludu, najmniej ze sztuk figuralnych odpowiadało usposobieniom tej wskróś klasycznej społeczności. Wreszcie zamało dziś posiadamy materiału do wyrobienia sobie samodzielnego sądu o tej gałęzi sztuki greckiej. Kilka nazwisk, kilka ogólnych wskazówek, nieco fresków, i to już z epoki rzymskiej, oto cały zapas do odtworzenia charakteru jaki ta sztuka przybrała w Grecji. Więcej ona może być przedmiotem kroniki niż sądu, jest też krótką, ale wyborną kroniką w ustach pana Kremera, przetkniętą nader trafnymi wnioskami, jakie z ułamków i napomnień wyprowadzić było można.

Na malarstwie zamyka się dzieło, i nie możemy mieć do autora pretensji, że nie mówi o muzyce i poezji, gdyż jako profesor szkoły sztuk pięknych, obowiązek miał ograniczyć wykład swój tylko do sztuki figuralnej.

Jaki zaś był cel tego wykładu?

Bardzo piękny, bardzo pożyteczny, choć niby nie stanowiący głównego zadania dla ucznia szkoły sztuk pięknych. Oczywiście przecież jest rzeczą, że do szkoły tej przybywa uczeń poto, aby go nauczone budować, rysować, malować lub rzeźbić, a więc muszą być ku temu i odpowiedni profesorowie. Ich zatrudnieniem i celem jest kształcenie uczniów pod względem artystycznym, specjalnym; wykład zaś tego rodzaju jakim był pana Kremera, stanowi dopełnienie tamtego: jest on kształceniem estetycznym, które zdobi zarówno umysł artysty, jak i innego światowego człowieka. Jeżeli ukształcenie to jest niezbędnym we wszelkiej kulturze wyższej, o ileż niezbędniejszym jest fachowemu artyście. To też chwala zakładowi, który do swego programu i ten wieniec ukształcenia zalicza i za konieczny warunek stawia. Prawda, że nie każdemu dano być uczniem takiego mistrza estetyki jak p. Kremer, ale każdemu artyście radzimy zapoznać się dobrze z przedmiotem, który on w różnych pracach swoich traktuje.

W książce tej pan Kremer dobrze zrozumiał zadanie swoje. Uważał on że na jego dział przypada filozoficzna teoria sztuki, duchowa każdej z nich zasada, estetyczne znaczenie szczegółów; rozumiał także iż dla artysty, obok zasad ogólnych tworzenia, niemniej pożądaną jest znajomość historii sztuki, rozwój kształcenia się jej, uprzytomniony wdziękach; z tych dwóch czynników składało się jego zadanie, a środki artystyczne należały do kogo innego. Nie dotyka on też ich wcale, nie wdając się w atrybucyę właściwych profesorów; zasady estetyczne głosi gruntownie i wymownie, w historii jest zaskąpym.

Niemniej i na to uwagę zwrócić musimy, że wykład sztuki plastycznej niezmiernie traci bez wzorów. Gdyby p. Kremer do książki swój dodał rycinę objaśniającą wykład tekstu, ileżby na tém całe przedstawienie w umyśle czytelnika zyskało! Opisywanie warunków i cech budowli lub posągu, bez odpowiedniego rysunku, jest to niemal dowodzenie twierdzenia geometrycznego, bez figury.

Ze świata muzycznego.

Koncertów mamy tyle i tak zajmujących, że chyba pisma codziennie wychodzące mogą obszerniejszą o nich zdawać sprawę; sprawozdawca Tygodnika z pewnym wstydem spostrzeża, że zaprzężony będąc koncertem własnym, zaległ pole przez parę tygodni. Sądzimy jednak, iż dla tych czytelników którzy w kronice muzycznej nie szukają tylko wrażenia chwili, ale pewnego trwalszego pożytku, wzmianka, choć cokolwiek spóźniona, nie będzie bez interesu.

Nie mieliśmy nawet dotąd sposobności zdać sprawy z koncertu Moniuszki, który się odbył jeszcze przy końcu zeszłego miesiąca. Na szczęście. pisząc o takich utworach jak *Widma*, pióro wypada z dłoni krytykowi, głos jego milknie w uczuciu niemego uwielbienia. A szczęśliwe są takie chwile, kiedy zimny recenzent, przemienić się może w pełnego zapалу słuchacza, kiedy przejęty od razu zaufaniem do autora lub wykonawcy, może spokojnie oddać się całej przyjemności słuchania. Zresztą *Widma* były już w Warszawie kilkakrotnie wykonywane i coraz więcej zyskują uznania u ogółu, bo świat artystyczny już dawno je uwielbia. Wykonanie ich było o tyle staranne, o ile to być może, przy niezbyt wielkiej stosunkowo ilości prób. Główną rolę sopranową śpiewała panna Macharzyńska, niespodziewanie, *au pied leccé*. Głos jej niezbyt jeszcze okrągły, niedość korzystnie się wydawał w reductowej sali, ale dobry sposób śpiewania mogliśmy już tam ocenić, a oceniliśmy lepiej, słysząc później pannę M. występującą na koncercie w resursie Obywatelskiej. Część deklamacyjną wykonali: pani Modrzejewska i pan Chęciński; dość te nazwiska wymienić, aby wiadano ile tam było wdzięku, siły, poważnego mistrzostwa. Pan Koehler z partyi barytonowej. wywiązał się doskonale, mimo (tak się nam przynajmniej zdawało) pewnego chwilowego nieusposobienia, w skutek którego noty wyższe z mniejszą niż zwykle łatwością wychodziły. Podobno że jeszcze tej zimy mamy raz *Widma* posłyszeć. Daj Boże aby to przyszło do skutku i abyśmy się zgromadzili do sal reductowych równie licznie jak poprzednio.

Z kolei przychodzi nam mówić o koncercie p. Józefa Wieniawskiego. Jakkolwiek czytelnicy sprawozdanie nasze czytać będą już po *drugim* koncercie tego artysty, my, będąc zmuszeni wcześniej artykuł oddać do druku, wspomnimy tylko o pierwszym. Piękny on był bardzo i zajmujący. Sam jego program dostatecznie okazywał, że go układał artysta poważny i szlachetnie sztukę traktujący, jakim zawsze znaliśmy pana Józefa Wieniawskiego. Po uwerturze z Oberona, wykonanej przez orkiestrę pod dyrekcją p. Müncheimera, koncertant zagrał koncert *C moll* Beethovena, z kadenzą własnego utworu. Szeroki i szlachetny styl Beethovenowskiej muzyki uwyatnił pan W. znakomicie w wykonaniu pierwszego *allegro* i *adagio*, a w pełnym życia finale zachwyił lekkością i

wdziękiem, nie odstępując ani na chwilę od poważnego stylu całości. Takie wykonanie Beethovenowskiego dzieła niemały zaszczyt artyście przynosi, i mimo zajmującej reszty programu, wyszliśmy z koncertu pod tym wrażeniem, jako najbardziej *dobrze* przedstawiającym grę i *artyzm* pana W. Co do Scherza Szopena, nie zgadzamy się na charakter w jakim je pojął artysta; zyczylibyśmy w śpiewie więcej namiętności a mniej akcentowania, więcej nawet śmiałości i niepokoju. Również pragniemy, aby p. W. nie przedłużał zbytecznie nót basowych / i e, które już sam autor każe trzymać przez więcej niż 3 takty, ale nie przez 5 lub 6, jak były wytrzymałe. Rapsody Liszta z towarzyszeniem orkiestry, zagrana była świetnie i porywająco. Jest ona, jako kompozytorka nawet, najlepsza ze wszystkiego, co Liszt w ostatnich czasach napisał; orkiestrowanie jej prześliczne i sprawia wielkie wrażenie. Oprócz tego wykonał pan W. krakowiaka Rubinsteina i parę drobniejszych własnych utworów; z tych ostatnich wymienimy głównie mazurka, który ma wiele dowcipu i życia. Nie wątpimy, że w sprawozdaniu naszym o drugim koncercie p. W. równie wiele będziemy mieli do zanotowania miłych i prawdziwie muzycznych wrażeń.

Jużemy tedy opisać dwa koncerty, z których każdy w swoim rodzaju był zajmujący; lecz na tym nie koniec, i prawdziwie dzień dzisiejszy powinniśmy uważać za szczęśliwy, takie bogactwo pięknych przedmiotów cisnie się pod pióro. Mówić więc mamy o kwartecie braci Müller, który przybył tu do nas poprzedzony kilkudziesięcioletnią sławą, bo teraźniejszy kwartet jest już następcą znanego przed trzydziestą laty w Niemczech kwartetu Müllerowskiego. Wprawdzie jeden z teraźniejszych braci Müllerów nazywa się Schiever, ale doskonałością i spokojem gry zléwa się najzupełniej ze swoimi towarzyszami. Kwartet ten, to nie czterech ludzi, ale *jeden* artysta, i jako takiego sądzić go już należy. Nie będziemy też potrzebowali mówić o jedności, wzajemnym wspomaganiu się i t. d.; są to rzeczy które same z siebie się rozumieją, kiedy mówimy o kwartecie braci M. Powiemy tylko słówko o ogólnym charakterze wykonania. O ile z pierwszego wrażenia sądzić możemy, charakterem tym ogólnym jest szlachetny spokój i godność w grze, wdzięk bez kokieteryi w muzyce Hajdna i zapewne Mozarta (bośmy Mozarta nie słyszeli), w dziełach Beethovena siła akcentowania i charakterystyczność, oraz ów, że tak powiemy, tłumiony, prawdziwie *Beethovenowski* ogień. Ognia *Mendelssohnowskiego* niedość tam było dla nas; wydało się nam że w owym zbiorowym artyście basy więcej go miały niż pierwsze skrzypce — słowem było życie, choć niedość może było uniesienia, zapалу. Wprawdzie rzadko od kwartetu wymagać można aż takich warunków doskonałości; ale od braci Müllerów wszystkiego spodziewać się należy i jesteśmy przekonani, że gdy młody dziś bardzo pierwszy skrzypek (właśnie p. Schiever) zechce czasami mniej panować nad sobą, to i ten warunek osiągniętym zostanie.

Druga, mała uwaga (bo zarzutów seryo tak doskonałym artystom robić się nie godzi) tyczy się canzonety Mendelssohna, którą kwartet pp. Müllerów gra trochę może zafantazyjnie, rzekłbym, trochę po *francuzku*.

Ale musimy i pp. Müllerów opuścić, bo obowiązki sprawozdawcze wzywają nas dalej. Już i tak artykuł nasz jest długi, a jeszcze mamy mówić o koncercie bardziej zajmującym niż wszystkie poprzednie, o koncercie pana Antoniego Stolpego. Bo że ludzie dojrzałym wiekiem przedstawiają światu muzycznemu dzieła wielkie lub egzekucją znakomitą, to już dziś nikogo nie zadziwia; ale widzieć wychodzącego na estradę 19-letniego młodzieńca, widzieć go najprzód z pałeczką dyrektorską, kierującego wykonaniem własnych utworów, a potem siadającego do fortepianu i grającego Rapsodyą hiszpańską Liszta tak dokładnie, że ani jedna nótka nie zginęła, to zaprawdę nieczęsto się zdarzy. Takiemu młodzieńcowi śmiało rokować możemy najpiękniejszą przyszłość i nie lekamy się abyśmy go zepsuli pochwałami. Prawdziwie artystyczna natura również się zbyt nie wywyższa o otrzymując uznanie, jak nie upada przed krytyką niesprawiedliwą, lub częstokroć obojętnością. Wszak występując z koncertem, młody artysta zapewne mógł przeczuwać, że się *narazi* na pochwały. Powiemy

więc otwarcie i bez ogródki, że p. Stolpe powinien dziękować Bogu za to, że otrzymał od Niego dar taki, który go może kiedyś uczynić jednym z najpiękniejszych w swoim zawodzie, a myśmy powinni podziękować panu Stolpemu, że daru tego nie marnuje, że go kształcić jeszcze dalej zamyśla.

Dziś już posiada on, jako kompozytor, niepospolite zalety, a najprzód melodyjność, dar wielki, dar święty, który niesłusznie zaniedbuje pewna dzisiejsza szkoła; posiada architektoniczną, grecką prawdziwie jasność w obrobieniu; może mu jeszcze brak zupełnej samodzielności, ale też nie wymagajmy jej od tak młodego artysty; niechaj wprzód będzie Mendelssohnem, a potem będzie sobą. Powiedziałem Mendelssohnem, bo zdało mi się że ten mistrz musi być ulubieńcem naszego artysty; same nawet temata pana Stolpego mają tę rzetelność, ten smutek, jaki charakteryzuje Mendelssohna. Mniej nam się podobał śpiew z towarzyszeniem orkiestry, choć bardzo dobrze wykonany przez p. Mikulskiego. Zamało tam znaczenia nadano partyi wokalne, która wieleby na tym zyskała, gdyby przeważniej tą kompozycją była zawładnęła. Zwracamy uwagę autora na ten szczegół głównie z powodu, że radzibyśmy aby nigdy nie poświęcał śpiewu dla orkiestry i aby zawsze starał się dużo pisać na głos ludzki, bo tym sposobem najpewniej przechowa w sobie boską iskrę melodyjnego natchnienia.

Wadą dosyć powszechną kompozytorów zbytecznie orkiestrą zaprzątniętych, jest pisanie partyi dla głosu niedogodnej i niewdzięcznej; wszak zarzut ten robiono nawet wielkiemu Beethovenowi i nie bez słuszności. Fantazyja na wiolonczelę (nazwana sceną dramatyczną) ma niepospolite piękności; w sekstecie, w uwerturze, jest świeżość i dużo, bardzo dużo wdzięku. Z pięknym więc, ze znakomitym zasobem pojedzie młody artysta kształcić się dalej, pod kierunkiem takiego mistrza, jakim jest *Kiel*. Nie możemy lepiej zakończyć tego naszego o nim sprawozdania, jak posyłając mu na drogę słowa zachęty, które oby proroczymi były:

Macte animo, generose juvenis; sic itur ad astra!

Publiczność nielicznie zebrała się na ten koncert, niewszyscy bowiem wiedzieli do jakiego stopnia znakomitym jest talent p. Stolpego; ale jesteśmy pewni, że gdyby chciał program tego koncertu raz jeszcze powtórzyć, miałby salę pełną i może więcej jeszcze materialnych środków do swęj podróży. Rzucamy tę myśl, w nadziei że może urzeczywistnioną zostanie.

Jan Kleczyński.

ORSZAK WESELNY.

Jasny, pogodny był dzień niedzielny —

Dróżką sypaną jedliną

Ciągnął ochoczko orszak weselny.

Raduj się, luba drużyno!

Grajcież-no hucznie, kłaśnijcie w dłonie,

Wkrótce łyż może popłyną,

A we łzach radość wasza utonie.

Raduj się, luba drużyno!

Nogi do tańca rwą mimowoli,

Wiąże się chłopiec z dziewczyną.

Póki nie wpadniesz w sieci niedoli,

Raduj się, luba drużyno!

Do dna, hej do dna kielich słodczy!

Niechże rozléwa się wino!

Wkrótce pić przyjdzie kielich gorzocy.

Raduj się, luba drużyno!

Płasajcież! — Patrzenie, jak wiatr pomiata

Wątłą, bezsilną kaliną;

Was kiedyś burze tak nagna świata.

Raduj się, luba drużyno!

J. P. Markiewicz.

Najnowsze odkrycia,

wynalazki i spostrzeżenia naukowe.

Spostrzeżenia Schiaparelli'ego i Le Verrier'a, dotyczące zjawiska gwiazd spadających. — Wpływy księżycy na naszą planetę. — Fotografie przejrzyste. — Fotografie barwne p. Gatty. — Nowa metoda pozłacania i posrebrzania Henryka Dufresne. — Publikacje pp. Borie i André, dotyczące rolnictwa i ogrodnictwa.

Gwiazdy spadające w roku bieżącym były przedmiotem bardzo ożywionych rozpraw. W Rzymie, Paryżu, Londynie, Nowym Yorku, stowarzyszenia uczone, opierając się na nowszych spostrzeżeniach, starały się oznaczyć przyczyny tych dziwnych zjawisk, zrywając z dawnymi, wątpliwą wartością hipotezami.

I czas też był po temu. Niejeden astronom, zapytany o objaśnienie czem jest gwiazda spadająca, szukał zakłopotany odpowiedzi i dawał w końcu zbyt niepewne określenia. Owe *zarzewia gwiazd*, jak je zwą na Wschodzie, były blaskami elektrycznymi w ustach meteorologa, planetami mikroskopowymi w mniemaniu astronoma. Piękność wszakże zjawiska, powtarzającego się w oznaczonych odstępach czasu, bo olśniewającego noce listopadowe potokami ognistego kamiennego deszczu, ze szczególnym natężeniem w blasku po każdym upływie 33 lat, zwróciła tym baczniejszą uwagę uczonych, że sama perzydyczność jego dawała rachunkowi pewne podstawy.

Gwiazdy spadające, powiada dawna teoria, to drobne planety, krążące w przestrzeni około słońca, równie jak nasza ziemia. Tworzą one niby łańcuch ciał pędzących w ściśniętym szeregu z nadzwyczajną szybkością, po drodze eliptycznej bez końca. Jeżeli który z tych szeregowców, zbaczając z właściwego sobie kierunku, zbliży się zanadto do drogi jaką przebiega ziemia, ta, prawem mocniejszego, odrywa go z szeregu, zmuszając do krążenia około siebie. Gwiazdki te wreszcie, w skutek tarcia o warstwę powietrzne ziemskiej atmosfery, rozgrzewają się i zapalają na powierzchni, wydając owe błyszczące smugi światła, uderzające wzrok mieszkańców ziemi.

Tak pojmował zjawisko to Herschel. Przejdźmy teraz do poglądów Schiaparelli'ego i Le Verrier'a w tej mierze, opartych na ściślejszym obserwacji faktów.

Według uczonego Włocha, gwiazdy spadające nie są bynajmniej drobnymi planetami i żadne pokrewieństwo nie łączy ich ze słońcem ani ziemią. Przychodnie to ze stref bardzo odległych przestrzeni. Długość drogi jaką przebiegają, nim się do nas zbliżą, prawie jest niewymierna. Schiaparelli porównywa je do komet w miniaturze, a nawet niedalekim jest od myśli, że te ostatnie ciała, trwające tłumy długim, płomiennym warkoczem, pociągają w swym biegu całe sznury owych gwiazd pyłkowych.

Wszystkie planety naszego systemu obracają się w jednym kierunku, od zachodu na wschód. Mgławica pierwotna, według Laplace'a, stygnąc, rozpadła się na cząstki, wykształciła gwiazdy i rzeczony ruch im nadała.

Asteroidy (planety teleskopiczne) listopadowe przeciwnie, krążą w kierunku odwrotnym około słońca, a mianowicie od wschodu na zachód. Fakt ten najwymowniej może dowodzi, że pochodzenie ich odmienne jest od naszego układu słonecznego, że należą one do innego świata i później dopiero do naszego systemu rzucone zostały.

W pewnych porach roku, a mianowicie około 10-go sierpnia i 13-go listopada, zjawisko gwiazd spadających ukazuje się zwykle w całej swęj wspaniałości. Tysiące ich spada wówczas z jednego punktu nieba, niby deszcz kropli gorejących. W innym czasie lecą one po większej części pojedynczo i w kierunkach najrozmaitszych. Schiaparelli postanowił obliczyć orbite gwiazd spadających 10-go sierpnia i znalazł w elementach tych meteorytów też

same prawie liczby, jakie dała obserwacja komety z roku 1862go. Sierpniowe przeto gwiazdy spadające przebiegały też samą drogę w przestrzeni, co wspomniana kometa, której widocznie były satelitami. Ponieważ zaś na spełnienie całkowitego około nas obrotu, ta ostatnia potrzebuje stu trzynastu lat, należałoby przypuścić, że od chwili rzutu tych gwiazd w nasz system i uszeregowania się ich w skupienia, odbywają one drogę w tymże upływie czasu. Obliczenia te zresztą są najzupełniej zgodne z rachunkiem Oppolzera, który obok tego wykazał, że kometa z r. 1862go może przejść od ziemi w odległości mniejszej od średnicy orbity księżycowej. Gdyby więc w przyszłości, co jest prawdopodobnem, ziemia w spotkaniu z kometa przetrzeła jej część najgęstsza, zasypałaby się gradem gwiazd spadających. Zjawisko byłoby arcyciekawem, czy zaś pożą-



Meczet w Winksznupiu. (Podług rysunku K. Górnickiego.)

danem ze względów bezpieczeństwa—nie powiemy.

Zjawiska zachodzące w listopadzie, należą już, według Schiaparelli'ego, do innej kategorii. Owe dęszce gwiazdowe, jakkolwiek lecą do nas z dalekich przestrzeni, są jednak już późniejszej od poprzednich formacji. W tej mierze Le Verrier uzupełnia teorią astronoma włoskiego i przychodzi do wypadków jeszcze ciekawszych, wynikających z niewzruszonej siły dedukcyjnej matematycznych.

Newton, zbierając spostrzeżenia dotyczące spadania listopadowego gwiazd, od 902 r. naszej ery, wykazał: że zjawisko to powtarzało się najżywiej i najdokładniej w 33 i jedna czwarta lat, że tworzy je nie sznur meteorytów, lecz ułamek jego ogniowy, który przebiega swą drogę w powyższym upływie czasu. Ów ułamek ma bieg wsteczny i nie należy tém samem do naszego systemu; ojczyzną (Obacz dodatek.)

Szachy.

Partya hiszpańska.

(Ruy-Lopez).

Białe.

(P. S. Winawer).

- 1) E2—E4
- 2) G1—F3
- 3) F1—B5
- 4) 0—0
- 5) D2—D4
- 6) F1—E1
- 7) F3—D4 biorą
- 8) D1—D4 biorą
- 9) B5—D3 (3)
- 10) D3—E4 biorą
- 11) B1—C3
- 12) C3—E4 biorą
- 13) E4—G3
- 14) D4—D3
- 15) C2—C3
- 16) G3—F1
- 17) C1—E3
- 18) D3—D2
- 19) G2—G3
- 20) E3—D4
- 21) D2—E3
- 22) C3—D4 biorą
- 23) F1—D2
- 24) F2—F3
- 25) E3—F2
- 26) F2—E1 biorą
- 27) E1—F2
- 28) G1—F2 biorą
- 29) A1—E1
- 30) G3—G4
- 31) F2—G3
- 32) F3—F4

Czarne.

(P. J. Kleczyński).

- 1) E7—E5.
- 2) B8—C6.
- 3) G8—F6.
- 4) F6—E4 biorą.
- 5) E5—D4 biorą (1).
- 6) F7—F5.
- 7) E6—D4 biorą (2).
- 8) C7—C6.
- 9) E8—F7. (4)
- 10) F5—E4 biorą.
- 11) D7—D5.
- 12) F8—E7.
- 13) E7—F6.
- 14) H7—H5. (5)
- 15) H5—H4.
- 16) G7—G6.
- 17) C8—F5.
- 18) H4—H3.
- 19) F5—E4.
- 20) G6—G5.
- 21) F6—D4 biorą.
- 22) D8—F6.
- 23) A8—E8.
- 24) E4—B1. (6)
- 25) E8—E1 biorą †
- 26) F6—D4 biorą †
- 27) D4—F2 biorą †
- 28) B1—D3.
- 29) B7—B6.
- 30) F7—F6.
- 31) C6—C5.
- 32) G5—F4 biorą †

- 33) G3—F4 biorą
- 34) D2—F3
- 35) F3—D4
- 36) E1—E2
- 37) G4—G5 †
- 38) F4—G4
- 33) C5—C4.
- 34) H8—F8. (7)
- 35) D3—E4.
- 36) A7—A6.
- 37) F6—G6 † odkr.
- 38) B6—B5. (8)

- 39) G4—H3 biorą
- 40) H3—H4
- 41) H4—G3
- 42) E2—E5 † (9)
- 43) E5—D5 biorą
- 44) G3—F2
- 45) F2—G1
- 46) D4—E2
- 47) E2—G3
- 48) D5—H5
- 49) H5—F5 biorą
- 50) H2—G3 biorą
- 51) G1—F2
- 52) F2—E3
- 53) G3—G4
- 54) A2—A4
- 55) B2—C3 biorą
- 56) E3—D3
- 57) D3—C3 biorą
- 58) C3—C4
- 59) C4—B5
- 60) B5—A5 biorą
- 39) E4—F5 †.
- 40) F5—C8.
- 41) G6—G5 biorą.
- 42) G5—F6.
- 43) F8—G8 †
- 44) G8—H8.
- 45) C8—H3.
- 46) H8—G8 †.
- 47) F6—E6.
- 48) H3—F5.
- 49) G8—G3 biorą †
- 50) E6—F5 biorą.
- 51) B5—B4. (10)
- 52) F5—E5.
- 53) A6—A5.
- 54) C4—C3.
- 55) B4—C3 biorą.
- 56) E5—F4.
- 57) F4—G4 biorą.
- 58) G4—F5.
- 59) F5—E6.
- 60) E6—D7.

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 50.

Wyrobniicy tracą na czusie i chlebie, gdy nie statkują.

I partya nierozegrana.

- (1) Błędne posunięcie. Należało jechać laufrem na E7 lub koniem E4—D6.
- (2) Można było iść królem na F7, a jeśli koń biały bierze pionka F5, wtedy grać E4—F6.
- (3) F2—F3 było bardziej stanowcze.
- (4) Dobra obrona. Przyznać potrzeba, że dalszém rozwinięciem partyi czarne okupily poprzedni bład.
- (5) Bardzo dobre posunięcie.
- (6) Pomyśl dowcipny. Pionek jest forsownie zyskany. Jeżeli białe partyi nie przegrały, winny to późniejszej świetnej obronie.
- (7) Najlepsze posunięcie.
- (8) Najlepsze było F8—F1.
- (9) Zdaje się że lepiej było iść E2—E6.
- (10) Partya ta zajmująca jest do końca. Czarne jeszcze mają nadzieję wygranej i przypuszczają ostatni piękny atak, który się jednak rozbija o posunięcie A2—A4.

(Dodatek.)

mu odległe strefy przestrzeni. Od chwili gdy w mowie będące zjawisko zaznaczonem zostało, ziemia nie pozostawała w jednakowej od słońca odległości, ale to oddalała się, to zbliżała do niego. Gromada więc meteoroidów zajęła pewną szerokość, w kierunku promienia drogi ziemskiej. Czy teraz, powiada astronom włoski, rozpatrywać będziemy stan ich zgęszczenia, czyli ich szybkość zmienną, znajdziemy w każdym razie wskazówki późniejszej ich formacji.

Jakaż przyczyna rzuciła owe zbiorowiska ciał w drogę dziś przez nie przebieganą? Na to pytanie Le Verrier odpowiedzieć się stara, opierając się na spostrzeżeniu wyżej przytoczonem Newtona, które pozwoliło oznaczyć dokładnie łuk, opisywany około słońca przez sznurki asteroidowe. Według jego opinii, droga asteroid listopadowych sięgała aż drogi Urana. Owóz, komety rzucone w nasz system wracają zawsze do gwiazdy której ulegają wpływowi perturbacyjnemu. I tak kometa z r. 1770 uległa atrakcyi Jowisza i rzucona przezeń w nasz system, pociągnięta została przez tę planetę w r. 1779 i wysłana w przestrzenie nieznane.

Dla téjże przyczyny Uran przesyłałby nam owe skupienia asteroid, które nas odwiedzają. Le Verrier wyrachował, że te zbiorowiska gwiazdowe w r. 126 ery naszej, ale nie pierwój, przechodziły bardzo blisko Urana.

W téj to epoce planeta owa wpłynęła na zmianę w szybkości tych ciał, na rozbitcie ich w cząstki, z powodu że siła pyzycyganania Urana, była większa od siły ich skupienia i nadała im nowy kierunek. Wrzeczy samój, rozbiór bardzo szczegółowy wykrył, że listopadowe sznurki asteroidowe dopiero od osiemnastu wieków przebiegają nową drogę, potrzebując półtora roku prawie do przebiegu w pobliżu ziemi. W przyszłości zjawisko zachodzić będzie w dłuższych upływach czasu, słabnąc coraz więcej, skutkiem zmniejszonej gęstości sznura i wpływu ziemi, która strąca z drogi składające go ciała.

Z tego cośmy wyżej powiedzieli, zdaje się nie ulegać wątpliwości, że w niewymiernych od słońca odległościach istnieją zbiorowiska ciał nam nieznane, które jednak w danój chwili spadając w obręb przyciągania jakiej wielkiej planety, krążą po jej drodze. Drobne gwiazdy w strony nasze spadające, są przeto więźniami naszego systemu planetarnego. Ziemia i inne ciała niebieskie w każdym spotkaniu się z niemi zmniejszają ich liczbę, aż w końcu znikają one całkiem z przestworu.

* * *

Mówiliśmy wyżej o zjawiskach meteorologicznych i nie wahamy się łączyć z niemi księżycy, jako ciała niezmiernie w ich zachodzeniu wpływowe. Przed dwudziestu laty uczeni z oburzeniem zaliczyliby takie zestawienie do herezji; — dziś zmieniły się czasy i zapatrywania — teorie do faktów, a nie fakta do teorii, stosować się muszą.

Z tych to względów zaznaczamy ciekawe stosunki, istniejące między zmianami księżycowemi, a powstawaniem orkanów, burzy i wielu innych przewrotów fizycznych ziemi.

Według spostrzeżeń p. Perrey, profesora uniwersytetu w Dijon, spostrzeżeń wynikłych z długoletnich obserwacji naukowych, trzęsienia ziemi wydarzają się zawsze jednocześnie z pewnemi zmianami księżycy. Pani Scarpellini, zarządzająca prywatnem obserwatorium astronomicznem w Rzymie, kobieta równie słynna z nauki, jak w ubiegłym wieku margrabina du Chatelet, otrzymała też same wypadki. Z 23 wstrząśnięć ziemi przypadłych między 1858 a 1862 rokiem w okolicach Rzymu, dwaście zaszło w czasie pełni księżycowych, siedem na nowiu, trzy przed ostatnią kwadrą. Najsilniejsze wstrząśnienia miały miejsce w przeddzień pełni lub nowiu, albo też zaraz po nich. Fakta te są znaczące, tém więcej, że straszliwe trzęsienie ziemi na wyspie Św. Tomasza, zaszło 18 listopada 1867 r., również w przeddzień pełni księżycowej nastąpiło.

* * *

Do ciekawych okazów rysowniczych słońca, należą bezwątpienia tak zwane *fotografie przejryste*. Widziemy na nich najwyraźniej drzewa, posągi, i t. p., pomimo że przed niemi w obrazie stają ludzie, zwierzęta, kolumnady jakiego budynku i t. d.

I przeciwnie, człowieka nie zasłania drzewo lub ruina.

Dawid Brewster, znany fizyk, pierwsi wskazał sposób otrzymywania tego rodzaju fotografij.

Było to w r. 1844m. Jednego letniego poranku, p. p. Hill i Adamson z Edyburga zdejmowali widok klasztoru yorkskiego. W czasie téj roboty na stopniu wspaniałej świątyni siedło dziecko, w bliskości drzwi głównych. Brewster, przyglądając się pilnie dokonanej już odbicie, dostrzegł z podziwieniem, że figura dziecka była przezroczystą. W rzeczy samój, ciało jego nie zasłaniało bynajmniej głazów składających budowlę: każdy szczegół po za siedzącym niedorostkiem rysował się najwyraźniej.

Fakt ten objaśnić łatwo. Błazka już uwydatniła głązy budynku, kiedy dzieciak zbliżył się i usiadł, i to nadało figurze malca cechę przezroczystości.

Spostrzeżenie to długi czas pozostało bez zastosowania; od kilku lat dopiero posługiwać zaczęło do wywoływania widm w przedstawieniach magicznych i teatralnych. Fotograf urządza scenę i odznacza miejsce w którym widmo ma się pojawić. Gdy krajobraz, salon, ruiny zamczyska i t. p. są już ukończone, osoba mająca przedstawiać widmo nasuwa się szybko w wybranem stanowisku, a ciało jej nie zasłoni wcale obrysów przedmiotów już odznaczonych.

Z zastosowania środka tego do stereoskopii, otrzymujemy ciekawe wypadki. Oddaje on zresztą naukom ważne usługi, umysłowiając już bryły geometryczne przecinające się, już obrazy czerpane z anatomii. Profesor Mach tą drogą okazuje dziś główne organa naszego ciała, stające się przezroczystymi. Odbitki umieszczone w stereoskopie, dają najzupełniejsze złudzenie; zdaje się że części naszego organizmu ukryte są w szkle, tak przezroczystość jest doskonałą.

W ogóle, dla otrzymania dokładnego okazu anatomicznego, dostatecznym jest poddać organ badany po rozpoczęciu sekcji przez kilka sekund wpływowi światła słonecznego w ciemni fotograficznej, a odsłoni on nam tajemnicę pewnego ustroju, stając się przezroczystym.

* * *

Chemia oddaje sztuce fotograficznej coraz ważniejsze przysługi. W ostatnich czasach p. Gatty wskazał sposób otrzymywania bezpośredniego odbitek kolorowych, i to o barwach nieulegających wpływowi powietrza. Fotografia przyjmuje farbniki najrozmaitsze i trwałe.

Wynalazca otrzymuje zwykłą drogą kliszę, następnie nurza papier fotograficzny w roztworze cyanku potassium i azotanu ołowiu. Po półgodzinnem pozostowaniu w takiej kąpiel, obraz zabarwiony będzie kolorem blado-zielonym.

Jeżeli chodzi o kolor błękitny, nurza się tak przygotowaną odbitkę przez dziesięć minut w słabym roztworze azotanu żelaza, a później zmywa się takową.

Gdy chcemy mieć fotografią powleczoneą żywym zielonym kolorem, potrzeba użyć kąpeli słabego roztworu chromianu potażu. W azotanie miedzi, przyjmie ona barwę ciemno-czerwoną lub brunatną, jeżeli dłuższy czas w nim pozostawać będzie.

Według zapewnień p. Gatty, fotografie takie nie zmieniają się w powietrzu i nie potrzebują szkła zabezpieczającego od jego wpływu. Jest to niezmiernie ważnym; dotychczasowe bowiem czarne fotografie ulegają w mniejszym lub większym przeciągu czasu zmianom, skutkiem czego wyrazistość rysów znika. Ta jedra zaleta dostatecznie już przemawia za upowszechnieniem metody przez p. Gatty podanej.

* * *

W przeglądzie nowości zagranicznych, nie możemy pominąć wynalazku p. Henryka Dufresne, zabezpieczającego zdrowie robotnika od zabójczych wpływów merkuryusza, przy pozłacaniu i posrębrzaniu, za który otrzymał wielką nagrodę na ostatniej wystawie paryżkiej.

Jakkolwiek elektryczność zastępuje z korzyścią merkuryusz w manipulacji złocenia i posrębrzania, to jednak, gdy przedmioty sztuki służyć mają do częstszego użytku, lub wymagają artystycznego wyrobienia ręką cyzelownika, użycie merkuryusza, zapewniającego większą trwałość wyrobowi, staje się

nieuniknioną koniecznością; potrzeba bowiem w tym razie pokrywać je dość grubą warstwą złota lub srebra, aby mogły się oprzeć wpływowi czasu.

Z pomocą nowój metody, robotnik nie jest narażonym na żadne niebezpieczeństwo, pomimo że ma sprawę z merkuryuszem. Dotąd, gdy chodziło o złocenie na miedzi, użycie stężonego azotanu merkuryusza było plagą niszczącą zdrowie pracownika po kilkoletniej praktyce. Trujący gaz tego preparatu, przejmował tkankę skórną na rękach, dostawał się zwłaszcza za paznogie, sprowadzał dreszcze nerkowe i osłabienie wzroku, wywołując przytém chorobliwe objawy w mózgu. Nierównie większe jeszcze niebezpieczeństwo zagrażało robotnikowi, gdy złocił na srebrze, zamiast na miedzi. Z obnażonemi ramionami, aby nie popalić sobie odzieży, z rękami osłoniętymi jedynie rękawicami, najczęściej już przejętymi wzywami merkuryalnemi, utrzymywać on musi nad żarem w lewej ręce sztukę złoceniu poddaną, a jednocześnie prawą ręką rozprawdzać na nią mieszaninę merkuryusza i złota, wciierając w przedmiot operowany niekiedy przez cały dzień ową amalgamę. Rozszerzone pory jego ciała, skutkiem obudzonej pracą transpiracyi, chłoną wtędy silnie parę merkuryalną. Pod wpływem zabójczego metalu upadają ludzie najsilniejszej budowy. Pozłacający na miedzi może się jeszcze czas jakiś opierać działaniu merkuryusza; ale dla złocącego na srebrze niema ratunku — pada on ofiarą swego fachu, w bardzo krótkim upływie czasu.

Wynalazkowi Henryka Dufresne'a klasy pracujące w podobnych zakładach odtąd zawdzięczać będą zdrowie. Nie używa on wcale azotanu merkuryusza, ale tworzy kąpiel z soli merkuryusza nie kwaśnej, lecz zasadowej, jak to ma miejsce przy złoceniu galwanicznym.

Sztuka przytwardzona do bieguna dodatniego, zatapia się w rzeczonej kąpeli i utrzymuje prąd aż do chwili, gdy cała pokryje się merkuryuszem. Nawówczas złoci się ją lub srebrzy w stężonej kąpeli i zanurza nanowo w kąpiel merkuryalną, po wyjęciu zaś z takowej, wystawia się przedmiot na silny ogień, zamykając starannie drzwiczki pieca.

Tym sposobem, w czasie parowania metalu, robotnik jest najzupełniej zabezpieczonym. Stos wyregcza go w niebezpiecznej operacyi, a przedmiot przyjmuje piękną i trwałą powłokę złota lub srebra.

Byłoby do życzenia, aby metoda p. Dufresne weszła w jaknajszersze zastosowanie. Pomijając już postęp przemysłu, chodzi tu głównie o kwestyę humanitarną.

* * *

Zamykamy rubrykę naszą zaznaczeniem dwóch nowszych publikacyj, dotyczących rolnictwa i ogrodnictwa, a mianowicie „Ruchu rolniczego”, dzieła opracowanego przez p. Wiktora Borie, i „Ruchu ogrodniczego”, którego autorem jest p. André. Borie z nieporównaną prostotą stylu i jasnością, jaka cechować winna książki dla rolników przeznaczone, przedstawia najważniejsze kwestye, związek z uprawą roli i w ogóle z gospodarstwem wiejskiem mające. André znowu, w małej broszurce, — kręśli piórem żywym, obrazowem uprawę roślin ogrodnich, na podstawie nowych postępów chemii opartą, stawiając wnioski z własnych spostrzeżeń, na każdój niemal kartce.

W ostatnich czasach botanika i fizyologia roślinna olbrzymie poczyniły postępy. U nas z pewną nieufnością zapatrywano się dotąd na nie, lub wcale nie liczone się z temi *zamorskiemi* nowostkami. Wypadki wszakże praktyczne powinnyby nadawać pewną wagę teorii. Bujne łąny Belgii, Szwajcaryi, Niemiec, przekonywają o korzyściach z prawd naukowych płynących, jeżeli się je stosuje z energią pracy, z rozumem kierownictwem i poparciem kapitału. Obznajamianie z owym postępem rolniczym czytelnika, zdaje się nam na czasie, i dlatego w przyszłości w sprawozdaniach naszych naukowych pomieszczać zamierzamy i artykuły rolnika obchodzić mogące.

W. N.

MECZET W WINKSZNUPIU.

Meczetów dla użytku Tatarów osiadłych w królestwie jest dwa tylko, jeden w Studziance w Lubelskiem, a drugi o dwie godziny od miasta powiatowego Kalwaryi, we wsi Winksznupiu, niegdyś dziedzicznej tatarskiej, a dziś należącej do p. Tomasza Wolskiego.

O tym ostatnim meczecie, którego wizerunek tu załączamy, mamy właśnie pomówić.

O samej budowli niewiele byłoby do powiedzenia. Ale na widok półksiężycy wieńczącego ją, czyż podobna poprzestać na suchej wzmiance o niej, jako o osobliwości miejscowej tylko? Czyż półksiężyc błyszczący ze szczytu muzułmańskiego przybytku, samotnie sterczącego wśród pól na których jaśnieją wizerunki męki Zbawiciela, nie pobudza do głębokiej zadumy nad dziwnymi kolejami losów ludzkich?

Do takiej właśnie zadumy usposabia i meczet tatarski w Winksznupiu, ze swym półksiężycem u szczytu kopuły. Uboga to i skromna, z drzewa pobudowana, dziś chyląca się już ku upadkowi świątynia. Wieje od niej melancholia jakiegoś sieroctwa, jakiegoś opuszczenia czy obojętności. Z dwóch stron otacza ją cmentarz. Kamienne płyty z arabskimi napisami, obyczajem wschodnim, sterczą u wezłowania mogił.

Cmentarz ten dodaje jeszcze więcej melancholiznego wyrazu meczetowi. Nie widać na nim pomników, któremi sztuka przyozdabia chrześcijańskie mogiły, ani ogródków pielęgnowanych ręką niewieścią w około takich pomników, ani majestatycznych drzew, szepczących liśćmi swój cichy rozhovor nad niemi.

Pochyło utkwione nadgrobnie płyty mają minę taką, jakby się wychylały jedne z poza drugich, żeby przypatrywać się lepiej i porozumiewać z sąsiednim meczetem, a może ubolewać nad tem, że balustrada wąskiego kruzganka wieżycy grożącej zawaleniem, przeznaczoną do pełnienia obowiązków minaretu, runęła, a niema komu dać nowej i minaret podeprzeć czy wyprostować; że przez dach gontowy, uszkodzony w wielu miejscach, deszcz i śnieg dostaje się wewnątrz i przyspiesza dzieło zniszczenia, a niema komu dach ten naprawić; że ściany spaczyły się, wypróchniały w wielu miejscach, mchem porośły; że fundamenta pod niemi rozsypują się, kamienie z nich wypadają i staczają się z pochyłości, a niema komu pomyśleć o usunięciu tych uszkodzeń. Zresztą może dziwić się owe głązy grobowe, że zamki podwojów świątyni rdza toczy, a ścieżki prowadzące do wnętrza trawą zarosły.

Wnętrze przedstawia także same nagie, drewniane, pociemniałe ściany, jak i powierzchowność. Nie widać na nich nawet sentencyj koranu, zwykle przyozdabiających złocistemi głoskami mury świątyń muzułmańskich. Wszakże w ścianie przy której mieszczą się w chrześcijańskich kościołach wielkie ołtarze, znajduje się framuga w kształcie małej kapliczki. Jest to tak zwany po turecku *mihrab*, oznaczający kierunek Mekki, do którego modlący się zwracać się winni. Obok niego, po lewej stronie, widać wzniesienie na kilku stopniach naksztalt niskiej ambony, zwane *kursy*, gdzie staje iman czy mołła, gdy chce lud nauczać.

Wnętrze to ścianą poprzeczną przedzielone jest na dwie nierówne części. W mniejszej, od wejścia z frontu, ze szczeliną w poprzecznej ścianie kilka łokci długą a kilka cali szeroką, przez którą widać co się dzieje w części drugiej, jest miejsce przeznaczone dla kobiet. Do oddziału mężczyzn wchodzi się z boku. Naprzeciwko mihrabu przy przegrodzie znajduje się galeria na słupach wsparta, w kształcie chóru naszych kościołów. Na podłodze podczas modłów rozpościągają się kobierce, lub duże z zielonego sukna, czworoboczne płachty, różnokolorowem wyszywaniem przyozdobione. I wszystko.

Tatarzy tutejsi zbierają się na modlitwę do tego meczetu nieraz ze stron dosyć odległych, w każdy piątek po pierwszym miesiącu. Iman, a jak nazywają Tatarzy, mołła ich terażniejszy, pan Abraham Bohdanowicz, w powszednie dni odznacza się tylko jasnozielonym kolorem swego długiego surduta i bro-

dą, którą jego parafianie mają zwyczaj golić. W meczecie występuje w zawoju.

Wedle wskazówki znajdującej się w artykule napisanym przez B. Tykła o b. gubernii augustowskiej, a drukowanym r. 1858 w Bibliotece warszawskiej, meczet ten, za orędownictwem namiestnika królewskiego Zajączka, pomiędzy rokiem 1818 i 1824, po zruinowaniu się poprzedniego, wybudowanego tam ongi przez jednego z Baranowskich, byłych dziedziców Winksznupia, z pomocą zasiłku ze strony skarbu i pod nadzorem ówczesnego imana Mnstafy Baranowskiego, został wzniesiony, a zatem nie liczy nawet pół wieku istnienia. Wedle tradycji miejscowych, jest to czwarty czy piąty już meczet w tym miejscu, o którym wiedzą mieszkańcy.

O przywileju i pochodzeniu Tatarów osiadłych na ziemiach tutejszych pisali: Czacki, Narbutt, Bartoszewicz, Muchliński i inni, a przywileje te zawierają Volumina legum.

Wedle wzmiankowanej relacji Tykła, w roku 1858 w granicach b. gubernii augustowskiej znajdowało się Tatarów w ogóle 155, to jest mężczyzn 76, kobiet 79. W roku zaś 1866, wedle źródeł urzędowych, było ich 171, to jest mężczyzn 79, kobiet 92. Czyli, że ludność ta w ciągu lat ośmiu powiększyła się o dusz 16, mężczyzn 3, żeńskich 13.

Pod względem miejsca zamieszkania Tatarów tutejszych, w roku 1866, wedle źródeł rzeczonych, było ich w powiecie sejneńskim 26, w kalwaryjskim 120, w maryampolskim 26.

Co do stanu i zatrudnienia tych mahometan, dzieli się oni na szlachtę, dziedziców i dzierżawców dóbr, a w niewielkiej tylko ilości spotyka się pomiędzy nimi takich, co się trudnią garbarstwem, wyrobnictwem lub służbą.

W ogólności Tatarzy tutejsi są ukształceni, gościnni, uprzejmi w obejściu się, uczynni, prawi i lubiani powszechnie. W domowych obyczajach niczem prawie nie różnią się od innych ukształconych miejscowych mieszkańców. Odstępstwo od wiary przodków pomiędzy nimi w tych stronach jest nieznanne.

Lubią zabawy, rozrywki, tańce i muzykę. Podczas zebrań fetują się między innymi narodowym przysmakiem, którym są pierożki z mięsa skrobanego nożem, z tłuszczem baranym, pieprzem i cebulą w cieście zwijane, znane i w Warszawie pod nazwiskiem kołdunów litewskich, a tu właściwie nazywane tatarskimi. Dobre kołduny smakuja wysmienicie, lecz trzeba je umieć sporządzać, acz na pozór jest to jadło nader proste. Spożywa się je łyżką, a sztuka na tem zależy, żeby kołdun mógł się cały odrazu zmieścić w ustach, bez uszkodzenia ciasta i wytoczenia żeń soku, który właśnie jest delicyą amatorów.

Są tacy co utrzymują, że przodkowie Tatarów tutejszych jadal chętnie mięso końskie i że prawdziwe ich kołduny powinny się sporządzać z młodych źrebiąt. Za rzeczywistość tego podania nie ręczymy, nie widząc w niem zresztą nic ubliżającego, tém bardziej gdy w naszych czasach w wielu stolicach europejskich konsumcyja mięsa końskiego jest niemałą i nader pospolitą.

Do narodowych przesądów zaliczyć trzeba jakiś rodzaj wstrętu do psów, który jeszcze przed laty trzydziestu kilku dosyć był między Tatarami tutejszymi powszechny. Widzieliśmy takich, co spluwali ze wstrętem i wracali do domu, jeśli jadącym lub idącym rano pies drogę przeszedł. Dziś już zdaje się że zapomniano o tym przesądzie, a to tém bardziej, że pomiędzy Tatarami niemało jest dzielnych myśliwych, którzy hodują u siebie psy łowieckie.

Wiadomo że Tatarzy wieprzowiny nie używają, jako wzbronionej przez koran. Z odległych też zapewne czasów zachował się pomiędzy nimi zwyczaj suszenia na wietrze mięsiwa mahometanom dozwolonego. Ktokolwiek zauważył w przejeździe około zabudowań wiejskich w tych stronach bujające u źerdzi, poziomo na wysokich słupach przytwierdzonej, długie sztuki mięsiwa i dziwił się tej osobliwości, ten widział siedzibę Tatarów i wędzonki ich dojrzwające na wietrze.

Czy nasi Tatarzy nie pijają wina, także wzbronionego prawowiernym przez koran, tego nie wiemy. Ale gdy Mahomet, oprócz hurysk, do rzędu rajskich nagród policzył obfitość najwonnejszych win, z naszej strony nie widziemy najmniejszej racji

mniemać, żeby roztropny mahometanin poczytywał sobie za wielką zbrodnię na ziemi, pokrępać się sokiem jagód winnej łoży, gdy upicie się nim w raju ma stanowić nagrodę cnoty.

Aleksander Osipowicz.

GENIUSZ.

Geniusz, — to orzeł. — Ptak co kocha burze,
Na podniebnych szczytach wiesz się gdzieś w chmurze;
Tam, potężnym krzykiem, wita brzaski słońca,
A poziomu pyłem gardzą jego szpony,
A wzrok jego z dumą w górę podniesiony,
O błyskawic łunę i blask niebios trąca,
Nie z mchu jego gniazdo! — To kamienna płyta,
Którą pierwszym gromem każda burza wita,
Jakiś skraj urwiska dziki i ponury,
Domek wąły, lichy, punkcik niby szary.
Wichry tam szaleją, warczą burz sztandary;
Pod nim przepaść czarna, nad nim nieb purpury.

Nie robaczkiem marnym, muszką z barwą tęczy,
Ani pszczołką wąłą, co u kwiatów brzęczy,
Karmi się rodzina w łunach burz poczęta;
O, nie! ptakiem nocy, potwornemi gady,
Cielskiem węzów puszczy z zabójczemi jady,
Ów król burz i szczytów karmi swe pisklęta.

Tak w królewskim gnieździe, które wścięła burza
W morzu górnych śniegów zda się tuż, tuż nurza,
Orzeł po orlemu swe hoduje dzieci.
Tam, utkwwszy oko w nieb świetlane szlaki,
Pod skrzydłami tuli cały orszak taki,
Co, jak on, potężnie ponad świat wyleci.

Tam wyhodowany ptak nie zadrży wcale,
Gdy nad czołem jego zwisną wichrów fale,
Lub gdy w gnieździe jego sęp swój dom zakłada,
Bo to pierwszy tryumf, pierwszy bój się wszczynają,
Bo dla orląt — burzą każda tu godzina,
Bo dla orląt — walką każda tu biesiada.

Orzeł się nie cofa. Żmije z burz płomieni
W swęj żrenicy blaskach orzeł w tęczę zmieni,
A lot jego dalej szlakiem niebios goni;
Skrzydła on z wichrami, z błyskawicą spleta,
W huraganie, grzmocie wita druha, brata
I wśród gromów ryku nie drży w chmur pogoni.

Klemens Podwojski.

UROCZA,

POWIEŚĆ -

przez T. T. Jeża.

(Dalszy ciąg).

Chłopiec oczy spuścił i nagle podniósł je na pana Stanisława; znów spuścił, znów podniósł; pociągnął wzrokiem po jeźdźcach i na policzkach jego, przez bladą powłokę, przebił się cień rumieńca, który twarz mu okraszył ni- by wstydem.

— Awantura przybióra obrót romantyczny, odezwał się paniczekowaty młodzieniec.

— Pod zapytaniami pana Stanisława—do- dał poważny jegomość—ale niechno ja mu dam zapytanie, to romans pęknie jak bańka mydlana. Czy nie wiesz ty, serdeczny, kto to wyrócił cebrzyk z wodą?

— Ja—odparł chłopiec śmiało, podnosząc głowę i przybiórajac postawę półzuchwałą.

— Ty?—zapytał groźnie pan Stefan.

— Ja—powtórzył chłopiec, tym razem już mniej śmiało.

— Czyż ty nie wiedziałeś, że tę wodę ka- załem wynieść dla psów?

Chłopiec milczał.

— I wyróciłeś cebrzyk?

Chłopiec wciąż milczał, spuściwszy w dół oczy.

— Aaa?... kochanie! toć ja ciebie każę na- tychmiast wyciągnąć i zaśpiéwasz tu nam róż- nemi głosami.

A zwracając się do służby, która tymcza- sem z niczém z poszukiwań po stepie powró- ciła, rzekł tonem nieubłaganego rozkazu:

— Weźcie-no tego mołojca, wyciągnijcie go jak lisa i wylieźcie mu odlewanych...

Lecz nie dokończył, bo w téjże chwili wysu- nął się akademik, wyciągnął rękę w harapnik zbrojną i rzekł:

— Wara!... w mojej obecności niech się nikt nie waży znęcać nad ludźmi po traktach!... Dość tych żartów, które zaczynają już być bolącemi!

Służba się powstrzymała; pan Stefan onie- miał ze zdumienia, a czepiając się wyrazu „żar- ty“ odparł:

— Ależ to nie żarty. Tu chodzi o....

— Dla mnie to wszystko jedno, o co panu chodzi, przerwał niespodziany bezbronny o- brońca. Powiadam i powtarzam: niech się nikt nie waży tego chłopca tykać, bo...

W tém miejscu zrobił gest, który był, wy- rażając się po łacinie, *argumentum ad hominem*. Rękę prawą odwinął i takie jój nadał, w sto- sunku do własnego ciała i w stosunku do po- staci pana Stefana, położenie, że ruszenie jój sprowadziłyby musiało we dwoje złożony ha- rapnik na twarz poważnego jegomości i na- znaczyć ją przez sam środek. Potrzeba było tylko ruszyć ramieniem z jakim takim przy- ciskiem. A że przyciskuby nie zabrakło, otém wymownie świadczyły oczy młodzieńca, strze- lające iskrami oburzenia i wpatrzone w twarz poważnego jegomości z tym wyrazem, co to znaczy niecofnione, chociaż warunkowe posta- nowienie. Harapnik wyrażał miecz Damokle- sa, zawieszony nad panem Stefanem na nitce, a nitką było: „jeżeli“....

— Jeżeli nie odwołasz danego służbie roz- kazu, trzepnę ile siły mam w ramieniu....

Oto co, bez mówienia ustami, mówił akade- mik gestem, a mówił tak wyraźnie i dosadnie, że ta niema wymowa trafiła do przekonania pana Stefana, któremu rzecz przedstawiła się w następującem świetle:

— Odwołam rozkaz, narażę się na wstyd; nie odwołam rozkazu, narażę się i na wstyd i na ból.

Jako człowiek rozważny, wybrał złe mniej- sze, a wybór uczynił bardzo szybko. Błyska- wicowym sposobem przesunęły się mu natwa- rzy kolory biały i czerwony; oczy mu migotały; widoczném było po nim, że gdyby mógł, wziął- by młodszego człowieka w garść, zmiął, zdusił i cisnął na śmietnik. Lecz że nie mógł tego uczynić pod zawieszonym nad sobą na włosku damoklesowym harapem, przeto głośnym buch- nął śmiechem:

— Niechże cię uściskam!... To mi walny chłopiec!

Zrobił ruch taki, jakby chciał na stronę od- jechać; lecz akademik natarł koniem, z zacho- waniem groźnej zaczepnej pozycyi, którą trzymał poważnego szlachcica w szachu wielce niedo- godnym. Zrozumiał ten co się święci, więc krzy- knął na służbę:

— Puścić mi tego obszarpańca!

A do akademika mówił dalej:

— Walny z ciebie chłopiec! Taki gorączka jak ojciec. Znamy się z twoim ojcem, ho, ho! znamy się jak łyse konie... Byliśmy razem w szkołach u bazylianów. Na jednym stołku braliśmy cięgi... Oho! znamy się doskonale... I on był taki porywczy. Rodem kurki czuba- te... Czyżes ty nie zrozumiał, że to wszystko były żarty? Czyżes się nie dowysilił, zem ka- zał chłopca na kpiny wyprowadzić, aby się je- go strachem pobawić?... A zaraz się porwał i nastawił, jak Mojżesz w obronie Żydów w niewoli egipskiej!... Jak to znać że ci je- szcze łacina z głowy nie wywietrzała! Ale z tém wszystkim, podobałeś się mi... Wal- ny z ciebie chłopiec! Niechże cię uściskam!

Podczas téj przemowy towarzystwo myśli- wych ruszyło z przed karczemki, ciągnąc stę- pem drogą, na której rozbijało tuman kurza- wy. Jechali parami. W piérwszej poważny jegomość z akademikiem, który trzymał się go zdaje się dlatego, ażeby go mieć pod ręką i przez to niedopuszczyć aby odstąpił od ostatnie- go postanowienia. Poważny jegomość snadź także w tém samém znaczeniu wziął towarzy- stwo akademika; lecz nie dawał tego po sobie poznać. Mówił z całą swobodą, a przy ostat- nich wyrazach pochylił się ku niemu z konia i wyciągnął ramię, w celu przyciśnienia go do piersi. Lecz celu tego dopiąć nie mógł, a to z powodu, że koń akademika, który wybornie dawał się zażywać, gdy chodziło o odwrócenie plag od Semena, uląkł się i cofnął, gdy pan Stefan przyszlusowywał i do uścisku rękę wy- ciągał.

— Skrobnijże szelmę pod brzuch harapni- kiem, to będzie posłuszny!—uczył pan Ste- fan niedoświadczonego jeźdźca.

Akademik poszedł za tą radą; lecz koń, za- miast stać się posłusznym, zaniósł go w bok.

Poważny jegomość śmiał się do rozpuku.

— Oto mi jeździec!... Oto łacinnik!... Gdy- bym miał syna, to za żadne skarby nie odda- wałbym go do szkół, bobym go się wstydzić musiał. Ha, ha, ha!....

— Wolałbyś mieć takiego syna jak ja?... he?—zapytał paniczekowaty młodzieniec, pod- jeżdżając i obok p. Stefana miejsce akademi- ka zajmując.

— No!—odparł zapytany—o tém niema co gadać. Ty, Fasiu, jesteś brylantem.

— Nie podnosząc ręki z harapem na lu- dzi siwych—dokończył młodzieniec półdrwią- cym tonem.

— Alboż kto kiedy na kogo rękę pod- nosił?

— Lat temu dwadzieścia pięć, pewien aka- demik na pewnego pana Stefana.

— Kpisz, czy o drogę pytasz? Na mnie rękę podniósł?! Przywidziało się tobie! Dałże- bym ja bobu temu, coby na mnie palcem za- krzywił.

Jechali i rozmawiali, a kurzawa za nimi się wlokła ogonem, który zostawał, rozwiwał się i nikł.

IV.

Boruchowa zgryzota.

Potrochu tedy zaczyna się wyścielać droga dla człowieka, którego z pewnym przyciskiem będę mógł nazwać „nasz bohater”. Przewi- duję jednakże, iż dużo jeszcze wody upłynie, zanim go ostatecznie będę mógł łaskawym czy- telnikom zarekomendować z tą dumą, która znamionuje ojcostwo. Na ten raz dość będzie, jeżeli im oznajmię że go już mam,—że się za- kończyły, daj tylko Boże aby szczęśliwie, autor- skie moje kłopoty.

Bohatéra tedy już mam. Ale—bohaterka... Bez bohaterki, czyż powieść mogłaby się o- bejść?...

Po nitce dochodzi się do kłębka. Kiedy jest „on,” to będzie i „ona”. On i ona schodzą się w życiu, więc zejda się i w powieści, będą- cęj życia obrazem, odbiciem, odzwierciedle- niem.

Zachodzi jednak ta okoliczność, że, aby od- szukać „ją”, muszę, pomimo że już pragnąłbym rozstać się z nimi, trzymać się jeszcze na- szych myśliwych, pomiędzy którymi prawdo- podobnie jest ten, co się na bohaterka kie- ruje.

Odjechali oni od karczemki, przy której nagle Semen pozostał sam, zdumiony tém wszystkim co widział, co słyszał, co go spot- kało i co go nie spotkało. Stał, oczami ścigał za odjeżdżającymi i w dali znikającymi, usta otworzył i w głowę się drapał. Mógłby w téj chwili przydać się do żywych obrazów, na przedstawienie posągu zadumania. W duszę mu, jak powiadają, zapadło pytanie pana Stani- sława:

— Czy nie przypominasz ty sobie... i t. d.

Nikt mu nigdy podobnego pytania nie za- dawał. Spadło ona na niego niby piorun i za- mąciło mu do dna pamięć, która dotychczas podobną była do cichej wody, zasłoniętej i oto- czonej tak szczelnie, że najmniejszy podmuch nie marszczył jój powierzchni. Nagle, nie- wiedzieć zkąd i jak, wziął się wicher, prze- darł się przez zasłony, przerwał otoczenie—i zakotłowało się. Semen stał—i przytrafiło się mu to, czego nigdy jeszcze nie doznał w ży- ciu: zamyślił się. A o czém?

Ludziom bardzo nawet mądrym zdarzają się takie momenta, że mózg ich obsiadają myśli, zupełnie tak jak szpaki obsiadają drzewa w jesieni. Spada tego mnóstwo—stada, roje. Człek chciałby nakryć je siatką i złapać—nie- sposób. Świegocą, migają, gonią się, ucieka- ją—tu były, tu ich niema—i nagle z téj całej zawieruchy robi się... nic.

Cóś podobnego zrobiło się i z naszym Se- menem. Piérwszy raz w życiu myślał, na mózg

spadły mu niezliczone roje jakichś światełek, iskier, błyskawic, kólek, zygzaków, promyków, i wiły się, kręciły, mąciły, wywracały koziołki, odzywały się jakimiś nieznanymi, niesłyszczanymi dotychczas głosami, aż naraz wszystkie pierzchły. Semen głową kiwnął, ręką machnął i westchnął. Puścił jeszcze raz wzrok za odjeżdżającymi. Już ich nie było. Utonęli w dali, zasłonięci tumanem kurzawy. Żal mu się zrobiło za nimi, chociaż powinien się być cieszyć, że uniknął wielkiej przykrości. Lecz obok przykrości stało zapytanie, a to zapytanie było jak głęboka, bardzo głęboka przepaść, nęcąca tajemnicą dna, którego gołębem okiem dojrzyć nie sposób.

Znikli jeźdźce dla Semena, lecz nie znikli dla nas. Wyciągnęli się na drodze w pary, niby oddział żołnierzy. Na czele jechał pan Stefan z Fasiem, a na ostatku pan Stanisław z akademikiem. Za nim w pewnym odstępie ciągnęła służba z chartami na smyczach. Kierunek ich drogi szedł do Kobylanki. Myśliwi, dla rozrywki, prowadzili gawędki. Każda niemal para mówiła o czem innym, a rozmowy toczyły się dlatego tylko, aby usta nie próżnowały, dotykając najbardziej rozmaitych przedmiotów. Jedni rozprawiali o psach, drudzy o koniach, inni o kartach, inni jeszcze o gospodarstwie, o pannach, o wiejskich dziewczętach, znajomych, krewnych i t. d. i t. d. Rozmaitość była ogromną, a w tej rozmaitości panowała ta jedność, że wszystkie owe rozmowy nie zmierzały do niczego, wyjąwszy chyba to, o czem mówiła para ostatnia, w której jechali, jak wiadomo, p. Stanisław i akademik.

Ten ostatni, po tém co przed karczemką zrobił, w dziwny sposób zeskromniał, jakby się wstydział własnego postępku. Przyłączywszy się do pana Stanisława, do którego czuł większy aniżeli do innych pociąg, nic o tém ani wspomniał, a chcąc zawiązać jakąś rozmowę, nie wiedział z której zacząć beczki. Pan Stanisław ze swojej strony, skory zwykle do gawędki, stał się milczący i zamysłony. Poprawiał od czasu do czasu czapki na głowie, czoło marszczył, wąsy kręcił i ramionami ścisnął, jakby w duszy sam ze sobą prowadził sprzeczkę, układającą się w zapytania i odpowiedzi, w twierdzenia i przeczenia. Akademik spoglądał na niego z ukosa i nie przeszkadzał tej wewnętrznej rozmowie. Wkońcu usłyszał następujące wyrazy:

— Jest racya w przysłowiach. Niéma dymu bez ognia. W każdej bajce prawda siedzi na dnie... Cóż ty na to?

— Że ta racya w sensie fizycznym jest bezwzględna, w sensie moralnym względna. Dym fizycznie jest wydzieleniem się cząstek z palnego materiału, rozkładającego się pod działaniem ognia, a zatem gdzie jest dym, tam musi być i ogień; prawda zaś moralna jest wynikiem, pochodzącym z zestawienia danych pewnych i wątpliwości niepodlegających, a zatem z bajką połączyć się nie da, chyba warunkowo w pewnych razach, jako przenośnia, jako retoryczna figura.

— Bywa niekiedy tak—podchwycił pan Stanisław.—Ludzie gadają, gadają o jakimś fakcie, przy którym nikt nie był obecnym, o którym nikt napewno nie wie, który wszyscy mianują nieprawdą, a jednakże z powtarzaniem tej nieprawdy długo rozstać się nie mogą... W takim razie w tej nieprawdzie tkwi coś... Jest ona wyrazem opinii publicznej, odgrywającej tu rolę sądu przysięgłych, który kieruje się w orzeka-

niu winy niedowodami materyalnemi, lecz przeświadczeniem w sumieniu zaczerpniętém... Opinia publiczna, aczkolwiek nieukształcona, słaba, niewyrobiona, jest jednakże sędzią, kierującym się nie czem innym, tylko sumieniem, w którego orzeczeniach musi być prawda...

— I który może się straszliwie pomylić—wsunął akademik.

— To zależy—odparł pan Stanisław. Proszę ciebie, niech komu podoba się powiedziéć i powiedzenie swoje przysięgą stwierdzić, że n. p. ja tobie zegarek ukradłem. Czy to kto powtórzy?... czy kto temu uwierzy?... czy opinia publiczna to uzna?

Akademik zrobił głową gest oznaczający przeczenie.

— A widzisz—ciągnął pan Stanisław.—Gdyby uznała, znaczyłoby to nie żem zegarek naprawdę ukradł, lecz że w moralnej mojej naturze posiadam uzdolnienie do popełnienia tego czynu... W bajce więc o zegarku jest na dnie prawda.

— Do czegoż to zmierza? — zapytał akademik.

— Hm! odparł pan Stanisław i pomyślawszy przez chwilę, rzekł:

— Utkwił mi w mózgu ten szynkarczuk, któregoś od plag uratował.

Akademik zarumienił się jak panienska.

— Zrobiłeś dobrze.

— Ale obraziłem pana Stefana.

— Cha, cha, cha! zaśmiał się p. Stanisław głośno. Zyskałeś w nim wielbiciela, który twoje cnoty będzie pod niebiosy wynosił.

— Jeżeliby tak było, byłby to dowód wysokości szlachetności...

— A ba! przerwał pan Stanisław. Trzeba wnikać w pobudki... Zaimponowałeś mu... Pan Stefan należy do tego gatunku ludzi, co gotowi są wielbić i wynosić wszystko i wszystkich, co im czémkolwiek imponują... Tak samo jak ciebie, wielbi on i wynosi Fasia, głupiego i zepsutego, lecz imponującego ogromną fortuną, która na niego po śmierci stryjaszka spadnie. W tém wielbieniu i wynoszeniu, jakie ciebie ze strony pana Stefana czeka, Kobylanka niepoślednią odegrzywa rolę...

— Akademik znów się zarumienił, jakby wspomnienie Kobylanki było dlań zawstydzającym.

— Gdybyś nie był panem i dziedzicem Kobylanki z przyległościami, najszlachetniejszy twój uczynek nie zdołałby wzbudzić ku twojej osobie szacunek w panu Stefanie...

— Przesadzasz! zawołał akademik. Malujesz ludzi czarno, strasznie czarno. Wnikając w pobudki, nie należałoby zapominać o tém, że on się zna z moim ojcem, że byli razem w szkołach...

— Tra la la la—odrzekł pan Stanisław. Pomiędzy twoim ojcem a nim taka zachodzi różnica, jak pomiędzy niebem a ziemią. Twój ojciec, człowiek uczciwy, rozumny, rządny, oszczędny... a on?...

Ostatni wyraz wymówił tonem pogardy i ręką machnął.

— Twój ojciec i on rozeszli się w dwie przeciwnie drogi... A mogli byli iść razem... Pan Stefan miał majątek, odebrał wychowanie niegorsze jak twój ojciec, posiadał wszystkie warunki, ułatwiające człowiekowi pochod drogą żywota i... jakież z tego wszystkiego użytek zrobił? Majątek strwonił i został pieczeniarem dobrego tonu..., honorowym oszustem, chronią-

cym siwą głowę pod skrzydła spadkobierców wielkich fortun...

I pociągnęła się dalej rozmowa, wielce ciekawa dla akademika, z powodu że osnuta około osobistości pana Stefana, z którą on przed chwilą, przypadkiem, w nader blizkim znalazł się stosunku. Nie będę jęj jednakże w całości przytaczał. Z powyższego urywku czytelnik poznał już kim jest pan Stefan. Więc dość na tém na ten raz. Przejdźmy z końca kolumny na czoło i przysłuchajmy się do jakich konkluzyj doszła pierwsza para, która, jak wszystkie inne, także bawiła się rozmową. Rozmowa szła z razu tonem półdrwiącym.

— Na tabakębym starł tego, coby na mnie tylko palcem zakrzywił! mówił pan Stefan.

Mówił to tak dobitnie, z takim wyrazem, że Fasio, z niedowierzaniem spojrzawszy mu w oczy z ukosa, w oczach tych snadź wyczytał prawdę i uwierzył.

— Trzebaż było akademikowi szcztuka wnos dać przynajmniej.

— Za co? zapytał pan Stefan. Za to że się okpił?... Mnie ubawiło jego wyrwanie się, jak Filipa z konopi. Ani myślałem kazać szynkarczuka bić.

— Nie myślałeś? podchwycił Fasio.

— A!... Za kogóż to ty mnie masz?... Ot, chciałem durnia postraszyć i tyle... Po stracie psa, która mnie zgryzła, chciałem sobie humor poprawić... Eh! szkoda mego psa!

Westchnął głęboko.

— A mego? odezwał się panicz.

— Twój przy moim siano woził.

— Nigdy nie dał więcej jak dwa obroty.

— Mój brał bez obrotu.

— I memu się to zdarzało.

O zaletach zginionych chartów długo pociągnęła się rozmowa i przybrała w końcu obrót pozwalający mi jęj wątek uchwycić. Do dalszego wątku treść nasunęło słońce, które duże, czerwone nad widokrekiem zawisło i powoli schowało się pod horyzont. Ujrawszy to, pan Stefan zawołał:

— Ot, już i po zachodzie, a przed nami jeszcze mila opętana.

Panicz skrzywił się, jakby mu to przykrość sprawiło i odrzekł:

— Gdyby nie ta okoliczność, że jestem amfitryonem, zaproponowałbym *un terme moyen*.

— Nie żenuj się, kochanie. Przecież nikt cię nie posądzi o skąpstwo, lub o niechęć przyjęcia gości w domu. Proponuj... śmiało, jak w ekarte.

— Lękam się być posądzonym...

— Dziecko jesteś! podchwycił pan Stefan. No to ja ciebie wyręcę i zaproponuję...

— A czy wiesz co?

— Najechanie Koreckiego.

— Piii!... trafieś jak kulą w płot... Sam widok Koreckiego sprawia mi chęć do czkawki. Taki pocziwy! taki rządny! taki rozumny!....

— Mam wielką ochotę przycisnąć cię do piersi. Doprawdy, tego rodzaju obywatela ckliwość wzbudzają. Ma się to za cnotę...

— Brrm! burknął Fasio. I ty mogłeś przypuszczać, że chciałbym proponować najazd na Koreckiego?... Ztąd widzę kwaśną minę dziedzica Kobylanki, witającego gości obarczonych zbrodniami diabełków, jarmarków, kradzionych całusów, trwonionego życia itd. itd.

(Dalszy ciąg nastąpi).